W NUMERZE miłość str. 9 · wiersze Drozdowskiego · film str. 3-4 i ... ???

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok IV. ŁÓDŹ, 28 maj 1961 r.

Nr ~~22~~ 21 (170) (169) Cena 1 zł

BOGDAN MOLIŃSKI

Dzieci, podwórka, dorośli

Dzieci, jak dzieci wielkiego miasta rosną na ulicach i podwórkach, toczą swoje zabawy wśród pojazdów i śpieszących się ludzi, wśród blaszanych puszek na śmieci i pustych skrzyń ze sklepowego magazynu. Kręcą się, biegają, przeszkadzają dorosłym, kopią piłkę; czasem brzęknie stłuczona szyba i rozwścieczony głos krzyczy do nich słowa, które już zaczynają być rozumiane i... rysowane na murach; hałasują, biją się przyjaźnią i nienawidzą. W niektórych porach dnia są to same 4, 5 i 6-ciolatki, w innych są również i starsi 10, 15-latki. Młodzi obserwują starszych i zachowanie ich przenoszą na stosunki między sobą. Późno wieczorem z okien domów wychylają się głowy rodziców. „Janek, Wojtek, Hanka na górę". Nie ma czasu na wychowanie. Czas spać. Jutro od rana znów ulica, podwórko; te same miejsca, jednakowe zabawy, czasem wycieczka do odległego parku lub na inne ciekawsze podwórko.

Niewiele jest w Łodzi tych „ciekawszych" podwórek. Około 50. Każde z nich stanowi centrum zabaw dzieci z sąsiedztwa. Zabaw nie zawsze dostępnych. Często brama na takie „ciekawe" podwórko jest zamknięta, a ktoś czuwa, żeby nie dostali się na nie przypadkim „łobuzy z tamtej kamienicy". „Łobuzy" stoją więc za drucianą siatką, zaglądają przez szpary w płocie, czekają pod bramą na stosowny moment, aby choć na chwilę dostać się do środka, aby móc zjechać parę razy na zjeżdżalni wskrabać się na przeplotnię lub pohuśtać. Bo na tych „ciekawszych" podwórkach jest albo piaskownica, albo zjeżdżalnia, albo huśtawka, albo nawet to wszystko razem.

50 ciekawych podwórek na 110 tys. dzieci i młodzieży w wieku szkolnym. Ile z tych 110 tysięcy ma zapewnione właściwe warunki wypoczynku, zabawy i zajęć poza lekcyjnych? Łódzki MDK im. J. Tu-

Dokończenie na str. 2

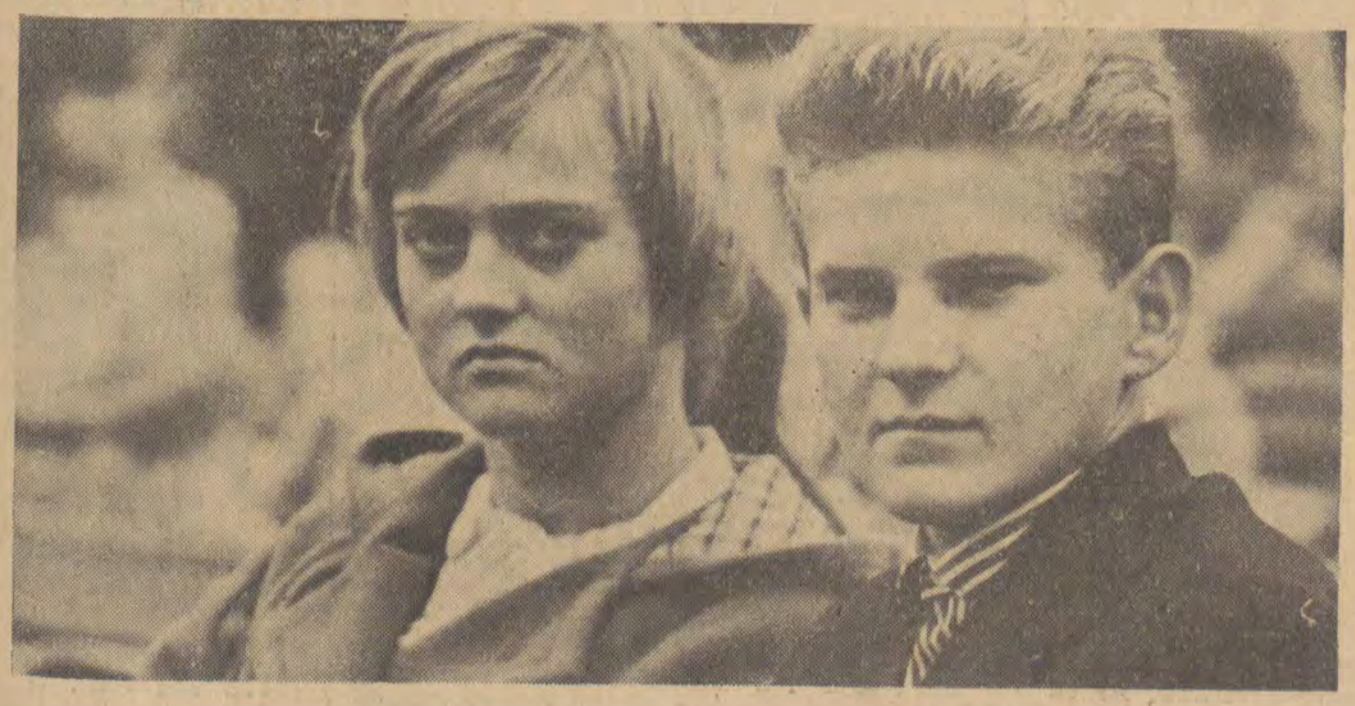

HENRYK CZARNECKI

Reportaż z KOLOROWEJ SZKOŁY

Matura. Uchylam drzwi. Jakieś połączenie strychu, klasy i atelier. Rozstawione stalugi. Pod ścianą chłopiec w pozycji odpoczywającego Hermesa. Trochę dalej dziewczyna odpoczywająca na swoim własnym ramieniu. — Żywe modele. Zręcznymi ruchami ołówka i węgla uwielokrotniają się te postacie na egzaminacyjnej sali. Z każdej stalugi przygląda mi się wspaniale uchwycony typ tej spod ściany. Zwięzła synteza gestu, kształtu, typu, choć różna technika przylepiona do rozpiętych na stalugach kart. Prof. Głowacki jak dobre memento wyrasta przed stalugami i znika, by znów pojawić się w innym końcu.

— Jaka prognoza? — pytam.

— Dopiero pierwsza godzina matury.

— Nie potrafi pan przepowiadać na dłuższy dystans?

— To zdolna młodzież. Jestem o nich spokojny.

Oni są też spokojni. Czesia M. uśmiecha się kącikiem ust do koleżanki z rysunku. Nie krępuje jej moja obecność. Nie widzę na jej twarzy egzaminacyjnego strachu przed stopniem. To przecież tylko dalszy ciąg umiłowanego zajęcia, a stojący dalej profesor też nie ma miny surowego egzaminatora. Nie ma potrzeby.

— Co pani zamierza dalej robić? — pytam w chwili wytchnienia.

— Studia w Wyższej Szkole Plastycznej.

— Kierunek?

— Studium projektowania odzieży.

Tak. Osiemnastoletnie dziewczyny są dziś praktyczne. Chcą żyć i służyć swą sztuką szerokiemu kręgowi społeczeństwa.

— A jeśli...?

Oboje nie wierzymy w to „a jeśli", ale Czesia przewidziała i tę ewentualność.

— Będę pracować w Studio Filmów Rysunkowych.

Uśmiecha się gdzieś w przestrzeń. Pochwyciłem w powietrzu jej myśli.

— Kim on jest?

— Studentem prawa.

— Jego imię? Pozdrowię go od pani w tym reportażu.

— I tak się domyśli.

— Czy sztuka łączy was czy dzieli?

— Zaczął się nawet inaczej ubierać. Modnie.

No pewnie. Czego się nie robi dla kobiety. Dla takiej kobiety...

Samuel S. ma sympatię w tej samej szkole.

— Rozumiecie się pewnie dobrze.

— Doskonale. Nigdy z sobą nie rozmawiamy o naszej pracy.

Rozumiem. Zazdrość zawodowa.

— Co dalej?

— Architektura wnętrz. Z malarstwa stalugowego żyć przecież nie można.

Zatrzymuję się dłużej przy Bronisławie G. Wiem już

Dalszy ciąg na str. 8

Dzieci, podwórka, dorośli

(Dokończenie ze str. 1).

wima szczyci się liczbą 1 tysiąca uczestników, drugim tysiącem ale pewnie niepełnym opiekuje się DKDM. 6 do 7 tysięcy zrzesza Harcerstwo. Razem niecałe 10 tysięcy. Czy może być coś bardziej niepokojącego niż los pozostałych nie objętych żadną formą organizacji wolnego czasu. Przecież to właśnie na Łódź wskazują statystyki jako na teren szczególnie wysokiej przestępczości wśród młodzieży. Zasób środków wychowawczych, którym w tej chwili dysponują odpowiednie instytucje na pewno nie wystarczy do zmiany istniejącego stanu rzeczy, nie zmniejszy potencjalnych rezerw chuligaństwa i przestępczości zawartych w pozostałych 100 tysiącach.

Od tego więc czy znajdzie się w Łodzi więcej dorosłych, którzy spoglądając na otaczające ich dzieci pomyślą o stworzeniu dla nich tych „ciekawszych podwórek", od tego czy znajdzie się choćby w co trzecim w co czwartym domu ktoś, komu własne kłopoty i troski nie przesłonią całkowicie obrazu dzieciństwa upływającego w jego mieszkaniu, na jego podwórku, na jego ulicy — **zależy w dużej mierze przyszły społeczny profil tego miasta, kształt pokolenia które za kilka lat upomni się o swoje prawa społeczne, ekonomiczne, polityczne i kulturalne.**

Tę nieskomplikowaną prawdę rozumie najbardziej TPD. Przynajmniej od czasu swej reorganizacji w 1957 r. Wtedy to nastawiło się ono prawie wyłącznie na prowadzenie szeroko zakrojonej akcji wychowawczo-opiekuńczej z łódzkimi dziećmi. W ciągu trzech lat swojej działalności, mimo wielu trudności natury obiektywnej, TPD odniosło pewne sukcesy wychowawcze organizując swoje komórki przy Komitetach Domowych szeregu posesji, a także udzielając im poważnej pomocy materialnej.

Z kartoteki TPD wybieram na chybił trafił dwa adresy. Oto ulica Przybyszewskiego 76. Dość daleko od centrum miasta. Linia tramwajowa. Domy przeważnie dwu i trzypiętrowe. W pobliżu szkoła ogólnokształcąca i kilka fabryk. Dom nr. 76 to długa, trzypiętrowa budowla o dwóch bramach i pięciu klatkach schodowych. Zamieszkuje ją 60 rodzin. Na tyłach domu wąskie podwórko z szeregiem drewnianych komórek. Między komórkami przejście i czerwona tabliczka: „Plac Zabaw TPD". Plac jest duży — należy chyba do największych tego rodzaju w Łodzi. Za placem — ogródki działkowe. Na placu — trawa, młode drzewka, kilkanaście ławek, stoliki. Z boku duża piaskownica z czystym piaskiem, trzy huśtawki, przeplotnia, zjeżdżalnia — wszystko obstąpione przez dzieci. Na ławkach po drugiej stronie placu siedzi kilkoro dorosłych, rozmawiając o swoich sprawach i spoglądają na dzieci. Te bawią się zupełnie swobodnie. Dużo śmiechu i gwaru. Jasno, przestronnie, słonecznie.

Kobieta której te dzieci zawdzięczają swój plac zabaw mieszka na drugim piętrze. Mały Jasio uprzejmie wskazuje drogę. Pani Z. Wyrębska rencistka, członek TPD, odpoczywa po dniu pracy domowej, lecz chętnie godzi się na opowiedzenie o początkach swej pracy.

„W naszym domu jest bardzo dużo dzieci, których rodzice pracują na 2 lub 3 zmiany i nie mają czasu ciągle zajmować się małymi. Za podwórkiem był duży, nie używany przez nikogo plac. W r. 1959 zebrałam w swoim mieszkaniu kilkoro starszych dzieci i przedstawiłam im swój pomysł zorganizowania placu zabaw. Oczywiście dzieci odniosły się do tego entuzjastycznie, natychmiast utworzyły Komitet Dziecięcy i obdarzyły mnie funkcją swojego opiekuna. Wystąpiłam w ich imieniu do TPD o zarejestrowanie naszego koła. Liczyło ono wtedy, po kilkodniowej akcji wśród lokatorów 31 członków".

Dziś Koło TPD z ul. Przybyszewskiego liczy już 71 członków, wykracza poza obręb jednej posesji i wciąga do pracy mieszkańców okolicznych domów. **W spontanicznej pracy nad dziećmi zacieśniają się więzy sąsiedzkie, które zdaniem socjologów, są ponoć najbardziej zagrożoną dziedziną stosunków społecznych w wielkich miastach przemysłowych.** Tu, ludzie z sąsiedztwa znają się wzajemnie, znają swoje kłopoty i radości, interesują się sobą, **nie czują się osamotnieni czy wyobcowani ze społeczeństwa. Poznali się osobiście dzięki placowi zabaw i zażyłość ich rozwija się również w oparciu o ten plac na którym ich dzieci znajdują odpoczynek i rozrywkę.** Mówi p. Wyrębska:

„Na pierwszym zebraniu organizacyjnym naszego Koła postanowiliśmy opodatkować każdą rodzinę kwotą 20 zł. Za uzyskana pieniądze zakupiliśmy siatkę i piłkę siatkową, urządziliśmy piaskownice. Z desek, które znalazły się na strychu zbito ławki, pomalowano je i ustawiono na placu. TDP dostarczyło nam huśtawki, zjeżdżalnię i przeplotnie. W ciągu dwóch lat pracy, z dobrowolnych składek miesięcznych w wysokości od 1 do 10 zł, zdołaliśmy dokupić dla naszych dzieci parę kompletów szachów i różnych gier, bilard pokojowy, układanki, klocki a także projektor filmowy z zestawem filmów. Zimą założyłam w pokoju ekran — w czasie ferii miałam pełne mieszkanie dzieci..."

Uroczystości i zabawy noworoczne, przygotowywane wspólnie przez rodziców i dzieci, wielki bal z okazji Dnia Dziecka, bal na którym gości witał zawieszony nad wejściem na plac wielki napis „Serdecznie Wilamy", wszystko to daje wielu ludziom z tej ulicy pewność, że ich dzieci nie czują się opuszczone, a im samym przynosi ożywienie i odprężenie po pracy.

Pani Wyrębska mówi o planach na przyszłość. W głosie dzielnej kobiety brzmi nutka żalu, że nikt z zewnątrz, oprócz pobliskiego oddziału Zawodowej Straży Pożarnej który udziela im daleko idącej pomocy technicznej, jak na przykład urządzenie lodowiska, oświetlenie placu itp., nie zainteresował się wychowawczymi aspektami odpowiedzialnej pracy.

„W tym roku — kontynuuje p. Wyrębska — mamy do zrealizowania dwa poważne zamierzenia: zbudowanie na placu zabaw altany, w której można będzie schronić się w czasie deszczu oraz przekształcenie jednej z dwu bram naszego domu na świetlicę. Mieszkaniec naszego domu, inż. Eugeniusz Dębski wykonał już odpowiednie plany zupełnie bezpłatnie, a TPD wzięło na siebie obowiązek zaopatrzenia i urządzenia wnętrza".

Plac zabaw przy ul. Przybyszewskiego to nie byle jaki kawał rzetelnej roboty wychowawczej, formalnie „niefachowej", ale szczerej, z całego serca, z zamiłowania. Szkoda, że z kobietą która ją prowadzi i której siły trzeba oszczędzać, gdyż nie jest już ani taka zdrowa ani młoda, nie postarały się wejść w kontakt powołane do tego instytucje.

Na drugim krańcu Łodzi przy ul. Nowotki 44 mieszka w małym pokoiku inna entuzjastka pracy wychowawczej z dziećmi, P. A. Śpiewak, rencistka, członek TPD radna DRN Bałuty. Podwórze tego domu zamieszkiwanego przez 54 rodziny jest długie, wąskie i ciemne. Rząd komórek zwęża je jeszcze bardziej. W kącie między komórkami a pochylonym płotem oddzielającym podwórze od terenu sąsiedniej fabryki bawi się troje dzieci przesypując z pudełka do pudełka ciemny piach. Unosi się obok nich obłoczek kurzu. Uboga zabawa. Cóż jednak mają robić, skoro rodzice w pracy, mieszkanie zamknięte, w pobliżu żadnego parku, a ulica bardzo ruchliwa. Niedługo Święto Dziecka. Znikną brudne ściany komórek pod barwnymi plakatami i rysunkami dzieci. Podwórko jest zamiecione i udekorowane kolorowymi bibułkami. Tłumnie zebrani rodzice oglądają wystawę rysunków — prac swych pociech, i dyskutują zawzięcie. Wreszcie rozstrzyga spory specjalnie zaproszony artysta plastyk, decyduje o przyznaniu pierwszych nagród i wyróżnień w postaci pięknych książek. Poza tym wszyscy uczestnicy konkursu na najlepszy rysunek otrzymują ufundowane przez Łódzki Oddział PKO książeczki oszczędnościowe z 20-złotowym wkładem. Rozpoczyna się część artystyczna. Popisy recytacji, śpiewu chóralnego i solowego, tańca oraz clou dnia — przygotowywane od szeregu dni przedstawienie, w którym udział biorą prawie wszystkie dzieci. Lecz piękny dzień kończy się, nadchodzi upalne lato, kurz wzmaga się, ci którzy nie wyjechali na wakacje spędzają czas w wyludnionym mieście często powracając do wspomnień o 1 czerwcu. Na tym podwórku niestety brak jest możliwości do prowadzenia zakrojonej na szeroką skalę akcji terenowej — nie ma gdzie urządzić piaskownicy czy postawić huśtawek. Na podwórku ruch. Przechodzą ciągle obcy ludzie, spieszący do pracy w graniczących z nim warsztatach. Poza tym jest ono wąskie — w niektórych miejscach jego szerokość nie przekracza czterech metrów. Dlatego też praca wychowawcza prowadzona z dziećmi tego domu jest próbą optymalnego rozwiązania problemu. Uroczyste wieczory, takie jak opisany powyżej, są organizowane jedynie dwa, trzy razy do roku: w czasie ferii świątecznych i na Dzień Dziecka; akcją ciągłą jest wyrabianie w dzieciach nawyku oszczędzania. Oto co mówi na ten temat P. Śpiewak:

„W porozumieniu z dyrekcją PKO postanowiliśmy zorganizować dla dzieci naszego podwórka konkurs oszczędnościowy. Jako zachęta do udziału w nim miały służyć książeczki PKO, już z pewnym wkładem. Dzieci otrzymały je najpierw za udział w wystawie rysunków, a potem, kiedy zainteresowanie wzrosło, po prostu za sam akces przystąpienia do konkursu. W tym drugim wypadku wkłady były jednak o połowę mniejsze i wynosiły 10 zł. Ogółem rozdano około 30 książeczek. Po upływie roku niektóre oszczędności sięgały już sum kilkusetzłotowych. Dzieci miały te pieniądze na wakacje. W tej chwili konkurs jest kontynuowany. Zbliża się również Dzień Dziecka i dzieci już dopytują się kiedy zaczniemy przygotowywać dekoracje podwórka i przedstawienie dla rodziców. W ciągu ostatnich dwóch lat dzieci z naszego podwórka stały się grzeczniejsze, porządniejsze. Żadne z nich nie przyjdzie do mnie na próbę nieuczesane czy nieumyte, lub bez odrobionych lekcji, świedzą, że wtedy się gniewam. Na podwórku też zachowują się inaczej gdy ktoś starszy coś upuści to podniosą ,gdy pyta o drogę — wytłumaczą dokładnie, lub zaprowadzą".

Nie starcza czasu na odwiedzenie większej liczby podwórek. A warto by zajrzeć jeszcze na ul. Główną 28, gdzie P. Grodowski, szofer PKS-u prowadzi dziecięce kółka: fotograficzne i majsterkowania, czy na ul. Piotrkowską 156, gdzie ślusarz P. Czajka każdej zimy urządza dla dzieci lodowisko, a latem jedyny w Łodzi tor do jazdy na wrotkach. Warto by zajrzeć jeszcze na wiele ulic, na wiele podwórek, gdyż tam gdzie w ogóle coś się robi, z reguły robi się dobrze, jeśli nie bardzo dobrze. Rzecz w tym że miejsc tych gdzie owo „coś" występuje jest ciągle jeszcze zbyt mało w porównaniu z ogromem białych plam na mapie społecznej inicjatywy wychowawczej.

Wróćmy na chwilę do statystyki działalności łódzkiego TPD. W roku 1960 zorganizowano w Łodzi 52 imprezy noworoczne, 18 wycieczek, w tym jedna 3-dniowa do Zakopanego, 521 rodzinom wielodzietnym udzielono pomocy materialnej w różnych formach, na przykład jednorazowa pomoc finansowa, uwolnienie od odpłatności za wyjazd dziecka na kolonie letnie, korepetycje dla uczniów drugorocznych itp., 1.260 dzieci obdarowano odzieżą. Na dzień 15 IV 1961 r. w kartotekach TPD zarejestrowano 126 Kół przy Komitetach Domowych, 40 placów zabaw, 15 świetlic, 3 poradnie społeczno-wychowawcze, 2 przedszkola społeczne oraz 3 poobiednie ogniska przedszkolne czynne trzy razy tygodniowo.

Do dn. 1 czerwca 1961 r. projektuje się utworzenie około 30 dalszych placów zabaw, 5 świetlic i 1 poradnię społeczno-wychowawczą.

Jeszcze raz trzeba podkreślić: jak na krótki okres działalności TPD to bardzo dużo, jak na olbrzymi teren, ilość młodzieży i wielość instytucji winnych zajmować się tą sprawą — to o wiele za mało. Pracuje TPD i tylko TPD. Kuratorium Okręgu Łódzkiego nie stara się zapewnić nawet części kadry nauczycielskiej nieodzownej dla prawidłowego funkcjonowania całości przedsięwziętej akcji opiekuńczo-wychowawczej. Ten sam zarzut wytoczyć można pod adresem Łódzkiej Chorągwi ZHP — wielokrotnie acz bezskutecznie zapraszanej do współpracy. Pozostawienie tego co zrobiono dotychczas na boku zainteresowań instytucji pedagogicznych, lub mówienie o tym tylko jako o sukcesach, a nie jako o wstępie do masowej akcji społecznej, może mieć rozliczne ujemne konsekwencje dla całości przyszłego życia społecznego w Łodzi. **Ludzie wkładający w tę pracę cały swój wolny czas, wszystkie zdolności i umiejętności, robotnicy i inteligenci, pracujący zawodowo i renciści nie powinni ani przez moment mieć uczucia, że ich praca idzie na marne, lub że na ogólnym tle miasta stanowi ona niepotrzebną stratę energii ich i wszystkich tych, do których w jej trakcie usiłując dotrzeć, przekonać to pozyskać.**

W tym mieście, starym, budowanym w początkach wieku, na oślep, bez planu, bez myśli o tym, że jego mieszkańcy są i będą czymś więcej niż żywymi automatami obsługującymi inne automaty, wiele jest do zyskania, lub wiele do stracenia — właśnie w dziedzinie wychowania nowego człowieka. Uczynić wszystko aby wyzyskać pierwszą szansę oto najpoważniejsze, najkonkretniejsze zadanie, któremu jednak samo TPD nie podoła.

KRZYSZTOF POGORZELEC

C_2H_5OH

LUDZIE MOCNI W MATEMATYCE OBLICZYLI, ŻE 1 PROC. ALKOHOLU ZAWARTY W PIWIE „KRZEPKIE" KOSZTUJE 50 GROSZY. TEN SAM „WSKAŹNIK" W PRZYPADKU CZYSTEJ WÓDKI KSZTAŁTUJE SIĘ NA POZIOMIE 1,65 ZŁ. W TANIM WINIE, TYM — ZA 14 i 17 ZŁOTYCH — 1 PROCENT ALKOHOLU KOSZTUJE KONSUMENTA 1 ZŁOTY. W PRZYPADKU WIN GRONOWYCH — 3 DO 5 ZŁ.

I JESZCZE JEDNO: PODOBNO W TRZECH KWARTAŁACH 1960 ROKU WYPILIŚMY O 3 PROCENT MNIEJ RÓŻNYCH WÓDEK. NATOMIAST W TYM SAMYM CZASIE NIEPOMIERNIE WZROSŁO SPOŻYCIE WINA I PIWA...

C_2H_5OH

Kryptonim? Dziecko z V klasy szkoły podstawowej powie, że to symbol alkoholu etylowego. Mądrzy w „piśmie" stwierdzają: alkohole — to związki organiczne zawierające jedną lub więcej grup wodorotlenowych.

Kropka, koniec. A przecież w tym miejscu powinno natychmiast nastąpić „dopełnienie". Pozwólcie, że postawię przed wami ten znak zapytania: czy wiecie co to jest delirium tremens?

Współcześni „protoplaści" imć Hipokratesa z pewnością odpowiedzą, że to otępienie umysłowe, padaczka, zwyrodnienie psychiczne. A ja patrząc przez pryzmat spraw ludzkich dodam: nędza, poniżenie moralne, rozbite rodziny.

Pliniusz (żył w latach 23—79 naszej ery) w swojej „Historii naturalnej" podaje, że współcześni mu leczyli alkoholizm proszkiem sporządzonym z ametystu.

C_2H_5OH. Wyprany z „humanistycznego" podtekstu symbol dokładny matematycznie, dobrze znany pod każdą szerokością geograficzną. Alkohol. W każdej postaci, bulgoczący w butelczynach i karafkach, sprawiający, że ulica w dni różnych świętych, a bardziej popularnych zatacza się i chodzi „od bramy do bramy". Ludzie mocni w matematyce obliczyli, a ja podaję to w ślad za warszawskim „Życiem Gospodarczym", że w ciągu trzech kwartałów minionego roku Polacy wypili o 3 proc. mniej różnych wódek aniżeli w analogicznym okresie roku 1959. Na optymizm jest jednak za wcześnie. Ten sam bowiem tygodnik podaje, że w ślad za tym poszło znaczne zwiększenie spożycia różnych napojów alkoholowych, a przede wszystkim wina oraz piwa. Nie, nie tego wina gronowego, które poeci nazwali „słońcem uwięzionym w flasze". Polskie wino, to najtańsze, po 14 i 17 złotych. Tylko z nazwy jest ono tym słonecznym napojem. Prawdę mówiąc jest to zwyczajna woda z domieszką czystego spirytusu i dodatkiem soku owocowego. Ma to pozornie niewielką moc, bo do 17—25 proc. alkoholu. Ale przyjrzyjcie się „publice", która raczy się tymi różnymi „Nektarami", „Rarytasami": ta mieszanina może doskonale spełnić rolę alkoholowego „gwoździa", a jeżeli jeszcze doprawić to piwem, z powodzeniem zastąpi... najmocniejszą z naszych wódek.

W tym miejscu znowu sięgnę po statystykę. Obliczono, że 1 proc. alkoholu zawartego w piwie kosztuje konsumenta zaledwie 50 groszy. Ten sam wskaźnik w odniesieniu do wódki kształtuje się na poziomie 1,65 zł. W tanim winie tym za 14 i 17 zł 1 proc. alkoholu kosztuje konsumenta jedną złotówkę. W przypadkach wina gronowego na tę samą dawkę trzeba by było wydać do 5 złotych.

I jeszcze jedno — znowu informacja, którą podaję na odpowiedzialność statystyki: w trzech kwartałach 1959 roku sprzedano w naszym kraju tyle piwa, że w przeliczeniu na czysty 100-procentowy alkohol daje to 12.714 tysięcy litrów spirytusu.

LOKATORZY „DOMU" PRZY DEOTYMY...

Tych spraw nie można tylko rozpatrywać w aspekcie statystyczno-matematycznym W ślad za ilomaś tam hektolitrami spirytusu wypitymi więcej — idą określone skutki społeczne. Serdecznie dziękuję pani mgr A. Majewskiej, która udostępniła mi swoją pracę poświęconą problemom alkoholizmu wśród łodzian.

Znowu podam tylko suche liczby: od lutego 1957 roku do 31 grudnia 1959 roku, a więc na przestrzeni dwóch lat w łódzkiej Izbie Wytrzeźwień, w „hotelu" przy ul Deotymy „bawiło" 27.106 osób w tym — niestety aż 1.508 młodych ludzi w wieku od lat 14 do 20. W samym tylko roku 1957 na ulicę Deotymy przewieziono 510 osób, których wiek kwalifikował tych ludzi do grupy społecznej zwanej młodzieżą. W rok później ten sam wskaźnik urósł do 546 osób. Dwa lata temu odnotowano pewien spadek liczby „klienteli" łódzkiej Izby Wytrzeźwień. Wtajemniczeni twierdzą jednak, że nie jest to wynik zmniejszenia się spożycia alkoholu i liczby pijaków w naszym mieście, ale że to

Leczono również pijaków lekiem, który był wodą pochodzącą z obmycia zwłok ludzkich. Ludowa medycyna zalecała także stosowanie wszelkiego rodzaju środków i preparatów sporządzonych z jaj sowich moczonych uprzednio przez trzy dni w winie z domieszką nafty i kwasu siarkowego.

po prostu zawiniła... statystyka, a wskaźnik liczby łodzian przywożonych co wieczór na ulice Deotymy raczej ma charakter ustabilizowany: wśród klienteli zwykle przynajmniej 5 proc. stanowią ludzie młodzi w wieku od lat 14 do 20.

Co to są za ludzie? Czy ci

Dokończenie na str. 11

dziś na str. 6

TERESA GAJDEROWICZ

QUO VADIS filmie animowany?

Artykuł dyskusyjny

O polskim filmie animowanym mówi się coraz więcej i częściej, a to z racji sukcesów, jakie odnosi on na międzynarodowych pokazach, festiwalach, itp. imprezach. W wypowiedziach i podsumowaniach przeważają superlatywy, a jako konkluzja — ubolewanie, że wyróżnionych filmów nie oglądamy ne ekranach. Rzadko też zdarza się nam czytać recenzje o filmach animowanych; zastępują je krótkie wzmianki, na które raczej nikt nie zwraca uwagi, szkoda, bowiem w ich świetle sprawa twórczości animatorskiej nie przedstawia się zbyt różowo.

Trudno zajmować się tylko filmami nagradzanymi, ponieważ — jak się rzekło — są niedostępne dla szerszego kręgu odbiorców oraz — jako arcydzieła (taki już los arcydzieł) stanowią w skali ogólnej niewielki procent filmów wyprodukowanych przez trzy nasze wytwórnie: Studio Filmów Lalkowych w Tuszynie (obecna nazwa — Studio Małych Form), Studio Miniatur Filmowych w Warszawie i Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku. Na tę właśnie masową produkcję należy zwrócić uwagę, ponieważ budzi ona poważne zastrzeżenia zarówno natury artystycznej jak i technicznej.

Jest rzeczą znaną, iż nasi realizatorzy filmów animowanych we wszystkich trzech ośrodkach wykazują niemałe ambicje twórcze, starają się przełamać dotychczas panujące (a narzucone przez Disneya, Cohla, Fleischera, Sullivana), kanony w tej dziedzinie twórczości filmowej i pragną zdobyć nowe obszary działania dla konwencji animatorskiej. Trzeba i należy chyba doceniać tego rodzaju wysiłki, wyrazić uznanie dla poczynań eksperymentatorskich twórców, trzeba też brać pod uwagę trudne warunki (niskie honoraria), w jakich im przychodzi pracować. Lecz to wszystko bynajmniej nie upoważnia do stosowania taryfy ulgowej przy ocenie wyników. Ocena winna być surowa i natychmiastowa, aby realizatorzy byli w stanie zorientować się czy eksperyment (jeżeli miał on miejsce) udał się czy też nie, jakie są plusy i minusy ich pracy. Tego rodzaju opinia krytyczna mogłaby stanowić wskazówkę dla realizatorów, którzy — zgodnie z logiką — powinni w dalszej swej pracy unikać poprzednich błędów. Właściwością bowiem każdego eksperymentu jest prawo do niepowodzenia pod warunkiem jednak, że eksperymentatorzy będą z nich wyciągać wnioski. Niestety, nasze filmy animowane zdradzają niemal maniacki upór, z jakim twórcy kroczą śladem poprzednich uchybień.

Na czym one polegają?

Ogólnie biorąc są one dwojakiego rodzaju: artystyczne i techniczne.

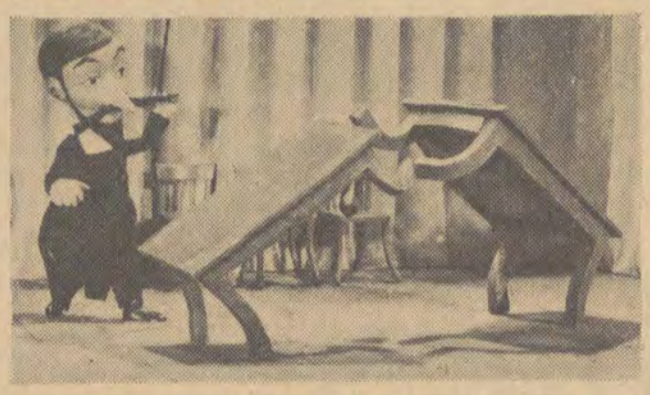

Scena z filmu lalkowego „Uwaga, diabeł" reż. Z. Wasilewskiego Foto: M. Biełous

Potknięcia strony artystycznej, bez względu na technikę, którą film został zrealizowany, sprowadzają się przeważnie do niedomogów scenariusza. Jest rzeczą znaną, że brak dobrej tkanki literackiej, stworzonej specjalnie dla potrzeb filmu lub będącej adaptacją pierwowzoru literackiego, daje się we znaki twórcom zarówno pełnego, jak i krótkiego metrażu. W zakresie tego ostatniego jednak trudności się mnożą, ponieważ film animowany jako samodzielny gatunek artystyczny — rządzi się odrębnymi prawami i stawia wobec twórcy specyficzne wymagania.

Podczas gdy w filmie fabularnym aktorskim sytuację w dziedzinie tematycznej mogą ratować adaptacje pierwowzorów literackich, to w zakresie filmu animowanego zawodzi tego rodzaju procedura. Przykłady? Proszę bardzo...

Kotowski (SFL w Tuszynie) zrealizował swoją „Pozytywkę" w oparciu o opowiadanie satyryczne Sołtykowa-Szczedrina, którego specyfika i celność tkwi w tworzywie językowym, w literackiej metaforze, sprowadzającej się do traktowania posunięć ludzkich jako ruchów marionetki. Kotowski dokonując adaptacji w technice kukiełkowej odwrócił sytuację: kazał swoim lalkom naśladować reakcje ludzi, co przekreśliło sens metafory. Innego rodzaju przykładem jest adaptacja znanej bajki Brzechwy „Pan Soczewka w puszczy", adaptacja ze zbyt długim prologiem, podawanym przez „żywego" aktora. Zabawne perypetie pana z nieodstępną kamerą, opisane barwnym językiem, tracą swój urok, kiedy prezentują je kukiełki. Tak pomyślany film pozostaje tylko i wyłącznie ilustracją do bajki i to ilustracją dość niezręczną, zważywszy, że wyobraźnia dziecięca stworzyła bardziej kolorowy i fantastyczny obraz dżungli, niż zrobili to K. Mikulski i L. Minticz.

Transpozycja pierwowzorów literackich w dziedzinę filmu animowanego może mieć szanse jedynie wówczas, gdy sama anegdota — dająca możliwość wykorzystania specyfiki tworzywa filmowego — usprawiedliwia tego rodzaju zabieg adaptacyjny. To jednak rzadko się zdarza, dlatego oryginalne scenariusze są tu szczególnie pożądane, bardziej może aniżeli w dziedzinie filmu pełnometrażowego.

Niestety, one to właśnie pozostawiają najwięcej do życzenia, zarówno te, które przeznaczono dla najmłodszego widza, jak i te, których adresatem jest dorosły odbiorca. Historyjki dla milusińskich grzeszą wątlutką i nieczytelną fabułą („Kaktus" L. Dembińskiego — S.F.L w Tuszynie, „Pan Słoń" T. Badzian — S.M.F. w W-wie, „Portrety mistrza Kleofasa" L. Marszałka — S.F.L. w Tuszynie itp). Brak w nich istotnego konfliktu, który mógłby zaangażować widza bez reszty i kazać mu utożsamić się z jednym z bohaterów. Brak wyraźnie określonych postaci w kategoriach bohaterów pozytywnych i negatywnych, choć prostolinijność psychiki dziecięcej domaga się jasności i jednoznaczności w klasyfikowaniu zjawisk subtelności i niuanse uchodzą uwagi młodocianego odbiorcy.

Kreskówka Disneya, należąca w tej chwili do klasyki filmowej stworzyła określony schemat dramaturgiczny, umożliwiający wprowadzenie licznych gagów i pomysłów, które wykorzystują właściwości tworzywa filmu rysunkowego. Schemat ów najogólniej biorąc sprowadzał się do przeciwstawienia sobie dwóch sił, uosobionych najczęściej w postaciach zwierząt. Szanse zwycięstwa pozornie leżały po stronie silniejszego, jednak spryt i inteligencja drugiego decydowały o innym rozstrzygnięciu konfliktu. Dawało ono pełną satysfakcję widzowi, a nie było pozbawione również aspektu wychowawczego.

Nie chcemy sugerować naszym scenarzystom, aby powielali koncepcje Disneya. Istnieją jednak wartości ciągle żywe, których uaktualnienie właśnie w konwencji filmu animowanego dałoby pożądane wyniki. Warto, aby autorzy pomysłów pokusili się na przykład o przykrojenie współczesnej, bogatej w konflikty rzeczywistości do miary miniaturowych dramatów, w których występowałyby (jak w historiach z Myszką Mickey), przeciwstawne żywioły.

Niedomogi naszych scenariuszy polegają m.in. również na braku pozytywnego i przytym sympatycznego bohatera, z którym młody widz zżyłby się, a pojawienia się go na ekranie oczekiwałby z niecierpliwością. Może warto pokusić się raz jeszcze o stworzenie postaci — bohatera całego cyklu przygód (dotychczasowe próby w tym zakresie z zabawnym Koziołkiem K. Makuszyńskiego zostały przerwane).

Analogicznie jest w zakresie tematyki dla dorosłych. Wydumana sytuacja, niezróżnicowane postacie mają najczęściej sugerować jakąś wartość filozoficzną i sygnalizować pointę, która niestety nie zaskakuje, co najwyżej budzi zdziwienie — po co to wszystko? Realizatorzy tego rodzaju filmów zdają się zapominać, że nie zawsze konwencja kukiełki lub ożywionej kreski jest właściwym nosicielem filozoficznego problemu czy nastroju. Trudność polega zaś na tym, iż transpozycja groteskowych nonsensów i nadrealistycznego humoru z literatury do filmu jest niekiedy prawie niemożliwa. W literaturze bowiem nadrealistyczny humor i nonsens zamyka się w kategoriach językowych, w filmie zaś — w wizualnych. („Wystawa abstrakcjonistów" wg. Gałczyńskiego).

Tak oto bolączką „nr 1" naszego filmu animowanego pozostaje brak właściwych scenariuszy. Twórczość animatorska potrzebuje scenarzystów, ale scenarzystów znających nature tworzywa jakim dysponują.

Tu otwiera się nowy aspekt zagadnień związanych z naszym filmem animowanym — techniczna strona realizacji pomysłów. Składa się na nią wiele mniej lub więcej samodzielnych elementów, decydujących o całości obrazu.

Może zacznę od końca. Od czynników, którym krytyka i twórcy najmniej poświęcają uwagi. Mam na myśli — dźwięk w filmie.

Podkład muzyczny w filmie animowanym jest przeważnie dobry, chociaż kroczy śladami koncepcji ilustracji muzycznych w dużym metrażu. W odniesieniu do filmu animowanego pozostaje on właśnie zbyt ilustracyjny, zbyt obiektywny, za mało angażuje się w konflikt. Ogranicza się do stwarzania lub odtwarzania nastroju, brak w nim akcentów groteski i deformacji. Przykładem należycie pojętego podkładu muzycznego wydaje mi się muzyka do filmów: „Pan Trąba", gdzie pełni ona funkcję dramaturgiczną, „Uprzejmi", gdzie dźwięk stanowi świetne dopełnienie końcowej pointy. Prawdziwą klasę w tej dziedzinie stanowią filmy o „Nowym Janku Muzykancie" i „Zmianie warty".

Nasuwa się pytanie: dlaczego w naszych filmach animowanych dźwięk ogranicza się jedynie do podkładu muzycznego? Dlaczego podkład muzyczny całkowicie wyrugował słowo z tej dziedziny twórczości filmowej?

Oczywiście, chodzi mi nie tyle o słowo jako o czynnik semantyczny, lecz o jego brzmieniową stronę. O nieograniczone wprost możliwości interpretacyjne, polegające na daleko idącym zróżnicowaniu — aż do granic groteski i parodii — skali brzmieniowej głosów poszczególnych postaci. Głos ludzki w różnym brzmieniu powinien stanowić istotne dopełnienie całości obrazu i pełnić istotną funkcję artystyczną.

Innym komponentem tej ostatniej jest oprawa plastyczna. Zwykło się uważać ją za najsilniejszą stronę naszych filmów animowanych, jako że autorami rozwiązań scenograficznych są najlepsi plastycy: P. Miklaszewski, Szancenbach, Kondek, Zitzman, Lengren, Zaruba i inni. Niestety, wysiłki ich nie zawsze mogą wypełnić lub pokryć braków scenariusza, często nawet chybiają celu. Mam na myśli przede wszystkim zbyt daleko posuniętą deformację, różnego rodzaju łamańce plastyczne, będące popisem dla samego popisu, nie zaś pośrednikiem między autorem pomysłu a młodocianym odbiorcą, gdyż jego trzeba mieć głównie na uwadze. Proponowana niejednokrotnie forma, intrygując swą dziwacznością, nie pozwala się skupić, a tym samym — odebrać nie zawsze jasny sens anegdoty. Jeśli autorzy chcą opowiedzieć historię niefortunnej miłości kaktusa do balonika, to dlaczego ów kaktus jest tak gładki, jakby go ogolono choć przecież za chwilę kolce kaktusa przekłują balonik? („Kaktus" — Dembiński — SFL). Jeśli Mistrz Kleofas maluje portrety królów podobnych do siebie, jak krople wody, to dlaczego nie postarano się odgraniczyć od siebie tych postaci? Dziecko zrozumie, że chodzi ciągle o tego samego króla i znów sens opowiastki uleci z ekranu. Dlaczego Pan Słoń jest za mało słoniowaty? („Pan Słoń" Teresa Badzian SMF), Pan Szaraczek tak prymitywny? („Pan Szaraczek — Kazimierz Oracz —SFL).

Scena z filmu lalkowego „O Janku co psom szył buty" reż. L. Hornickiej

Filmy dla dzieci niekoniecznie muszą być utrzymane w konwencji realistycznej. Pożądana jest stylizacja bądź naturalistyczna, bądź uproszczona, jednak rodzaj jej i stopień, w jakim zostanie użyta, winny być podyktowane ogólną koncepcją obrazu i jego treści. Nie można deformować postaci tylko dlatego, żeby było dziwniej, budzi to bowiem sprzeciwy natury psychicznej w procesie percepcji młodocianego widza. Zamierzony prymityw i oszczędność oprawy scenograficznej będą zrozumiane jako nieudolność realizatorska i wzbudzą jedynie zniechęcenie.

W ślad za uproszczeniami i deformacją strony wizualnej następuje uproszczenie samego aktu animacji. Jest ona w naszych filmach żenująco słaba. Wyjątek stanowią chyba „Dwie lampy" (SFL w Tuszynie (T. Wilkosz), „Pan Makary i straszliwy złodziej" (B. Nowicki SMF), „Uprzejmi" (E. Musiałowicz), gdzie ruch jest dość płynny i utrzymane dobre tempo. No ogół zaś przeważają dłużyzny, brak dynamiki, statyczny dalszy plan. Zważywszy, że projekcja filmów animowanych nie trwa dłużej, jak 10—12 minut, to niewybaczalnym błędem jest marnować cenne sekundy jedynie na kontemplowanie kompozycji kadru. Realizatorzy owych krótkometrażówek ciągle zdają się zapominać, że niezastąpioną domeną ich twórczości powinien być ruch, dynamika, zmienność, igranie z materią — odkształcanie jej, pozorne ulęganie i ponowne jej zwyciężanie.

Nasi animatorzy chętnie się posługują wszystkimi pokolei, technikami, szukają nawet nowych możliwości w dziedzinie animacji. Trzeba, niestety, stwierdzić, iż ambitne poszukiwania idą często w niewłaściwym kierunku. Ustaliła się bowiem fałszywa opinia, jakoby tylko kukiełka człowieka czy zwierzęcia lub tylko rysunek przedstawiający konkretne postaci w mniej lub więcej konkretnych sytuacjach — mogły ożyć na ekranie. Zapomniano natomiast, że istotą animacji jest nadanie ludzkich cech i odruchów każdemu przedmiotowi martwemu, gdyż każdy przedmiot posiada samoistny byt, może żyć pełnią życia duchowego, a upostaciowanie owego przedmiotu narzuca formę wyrazową całemu obrazowi. W ten sposób dopiero może być realizowany postulat zależności formy od treści, a nie odwrotnie, co wyklucza pusty formalizm. Nieśmiertelnym już przykładem może być „Zmiana warty" Haupego i Bielińskiej, filmu, w którym bohaterami są zwykłe pudełka od zapałek, wyglądem zewnętrznym absolutnie nie przypominające ludzkiej sylwetki. Przedstawiają one gorącą miłość, od której spłonęły.

Wszak tylko zapałki mogą spłonąć naprawdę. Tu zamyka się cały sens, piękno i trafność poetyckiej metafory a otwierają się nowe możliwości dla filmu animowa-

Dalszy ciąg na str. 4

mieszanka FILMOWA

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

Normandia—Niemen

Losy francuskiej eskadry lotniczej, która podczas ostatniej wojny walczyła u boku lotnictwa radzieckiego, stanowią fabułę tego pierwszego po wojnie filmu wyprodukowanego wspólnie przez dwie największe kinematografie europejskie — radziecką i francuską. Trzeba przyznać, że reż. Jean Dreville miał trudne zadanie. Łatwo bowiem przy takim temacie popaść we wszystkoizm lub też w lakiernictwo i sloganowość. Nietrudno zgubić poszczególnych bohaterów — zwykłych ludzi z ich zaletami i wadami.

Scenarzyści — Charles Spaak, Elsa Triolet oraz Konstanty Simonow przyszli z pomocą reżyserowi, dając mu scenariusz wartościowy dramaturgicznie. Twórcy filmu odnieśli się z wielkim pietyzmem i zaufaniem przede wszystkim do faktów i ich wymowy opierając się na książce-pamiętniku pilota eskadry Normandia — Niemen — Francoisa de Geoffre.

Filmowe dzieje tej eskadry walczącej na froncie wschodnim od marca 1943 r. nie obfitują w zadziwiające widzów efektowne fajerwerki i akrobacje walk powietrznych. W sposób prosty, nieraz tylko może nawet za bardzo szkicowy, toczy się narracja o przyjaźni i solidarności, o wspólnych zwycięstwach, a także porażkach. Postacie lotników francuskich i ich radzieckich kolegów oraz dowódców są nie tylko prawdopodobnie, ale bardzo prawdziwe w interpretacjach: Marca Casota, Pierre Trabauda, Giani Esposito, A. Umańskiego, W. Gusiewa, N. Rybnikowa i J. Medwiedziewa oraz innych. Aktorstwo to na pewno nie jest olśniewające, nie ma tutaj mowy o wielkich kreacjach, ale wydaje się ono solidne i bezpretensjonalne, podobnie jak reżyseria — poprawna, celowa w prowadzeniu ciekawej akcji i umiejętnym wydobyciu wartości ideowych filmu.

„Normandia — Niemen" służy przykładem, że koprodukcje filmowe mogą być pożyteczne, przynosić dobre i zdrowe owoce wtedy kiedy znajdzie się temat tak bliski jednej, jak i drugiej stronie.

Kronika towarzyska

Gina Lollobrygida z głośnym krzykiem opuściła Hollywood i udała się czym prędzej do Rzymu. Przyczyną tego krzyku i raptownego pośpiechu była jak nie trudno się domyśleć kobieta, czyli Luba Bodin, mało znana gwiazdeczka jugosłowiańska, czarująca od niejakiego czasu i to ponoć z powodzeniem doktora Milko Skofica, małżonka pięknej Giny. Wtajemniczeni w prywatne życie wielkiego świata twierdzą, iż postępowanie doktora Skofica, który afiszuje się z Lubą, spowodowane jest chęcią rewanżu za flirt Giny z Tony Curtisem, jej dawnym partnerem z „Trapezu".

* * *

Brigitte Bardot została honorową przewodniczącą „Klubu młodego przyjaciela zwierząt" asygnując na cele szerzenia miłości do zwierząt pokaźną sumę pieniędzy. Tytuł pierwszego kociaka Europy zobowiązuje widocznie do solidarności z pozostałą fauną kontynentu.

Następne numery „Mieszanki filmowej" przyniosą recenzje z filmów: „Ludzie z pociągu" oraz „Romeo, Julia i ciemność".

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

Noc szpiegów

Denerwująca i zła jest ta „Noc" nie tylko dla pary bohaterów filmu reżysera Roberta Hosseina (ex-męża Mariny Vlady), ale także, a raczej przede wszystkim dla widzów. Niewątpliwie Robert Hossein zrealizował film sensacyjny z ambicjami psychologicznymi. Niestety, materiał scenariuszowy był zbyt ubogi by mógł powstać dramat psychologiczny. Zrodził się tylko jakiś dziwny zlepek kryminału filmowego z melodramatem okraszonym psychologizującymi dialogami wygłaszanymi przez ładną sex-blond agentkę do demonicznego agenta. Marina Vlady i Robert Hossein gmatwają całą sprawę, aby było bardziej sensacyjne i bardziej długo, z całego filmu wieje tanim psychologizmem i fatalizmem. Szkoda, że to wszystko jest tylko — „izmami" a nie ciekawym d matem jakiego można b oczekiwać.

Reżyser stosuje w sw filmie bardzo kameralną n rację, operując długimi z żeniami bohaterów, rozg wając akcję w jednej wł ciwie tylko dekoracji. I struje wreszcie swój film dzo natrętną muzyką. Fo jaką wybrał jest na pew ambitna i daje czasami c kawe wyniki. Niestety, u trudności zasadniczej — miał właściwie nic ciekaw go i ważnego do powiedzen „Noc szpiegów" jest ty mniej lub więcej przyje nym studium igraszek p młodych ludzi, których po czyło przypadkowe prze cie erotyczne. A to jak dramat psychologiczny o zało się niewystarczające.

A. N

Quo vadis ?

Dalszy ciąg ze str. 3

nego: *nie naśladownictwo* (często nieudolne) rzeczywistości przy pomocy kukiełek przedstawiających ludzi i zwierzęta, a *iluzja* rzeczywistości, zawarta w każdym przedmiocie. Dalszą konsekwencją tego jest możliwość zmaterializowania, transpozycji na ekran przenośnych sensów życia, metaforycznych wartości poezji.

Kukiełki, które oglądamy w naszych filmach lalkowych mogłyby „występować" co najwyżej w teatrze marionetek, gdzie oddalenie ich od widzów tuszowałoby nadmierne uproszczenia budowy i stroju. Jest zasadą, że w filmach kukiełkowych utrzymanych w konwencji realistycznej dla każdej lalki sporządza się około 100 główek przedstawiających różne fazy mimiczne. O ile się nie mylę, w naszych filmach można zauważyć najwyżej dwa stadia wyrazowe.

W filmie kukiełkowym na ogół zbliżenia nie są pożądane, gdyż czułe oko kamery wychwytuje wszelkie usterki czy szczegóły techniczne budowy lalki, fakturę materiału, co płoszy iluzję leżącą bądź co bądź u podstaw tego rodzaju twórczości filmowej.

Zbliżenia mogą oddać nieocenione usługi, jeśli reżyserowi zależy na wykorzystaniu naturalnej faktury tworzywa w celach dramaturgicznych. Jeśli broda lalki jest z waty i ma się na przykład wkręcić w koła roweru, nie czyniąc przy tym zbytniej krzywdy jej właścicielowi (tyle tylko, że rower zacznie cofać się do tyłu), wówczas widz musi być w pełni przekonany, iż broda owa jest właśnie z waty, nie zaś z czego innego.

Właściwie rozumie specyfikę filmu kukiełkowego Z. Wasilewski, który, podobnie jak twórcy „Zmiany warty" ożywił na ekranie obiekty, będące przedmiotami w rzeczywistości; stołom kazał toczyć bójkę, krzesłom biegać itp. czyli wykonywać czynności, należące między innymi do repertuaru ludzkich poczynań. („Uwaga, diabeł"). Poza tym warto zastanowić się, czy kukiełka koniecznie musi być wykonana z tradycyjnego materiału, którym bywa drewno i płótno? Dobrodziejstwa rozwoju chemii usprawniły wiele dziedzin naszego życia, warto pomyśleć, aby znalazły dostęp i do filmu kukiełkowego.

Inne nieco założenia leżą u podstaw kreskówki, posługującej się elementem linearnym i barwną plamą. Tutaj kształty i układy istniejące w rzeczywistości stanowią raczej pretekst do uzyskania efektów, których rzeczywistość dać nie może. Oto J. Skrobiński w „Romansach" dał namiastkę Mac Larena, wyczarowując przy pomocy kreski tancerza i tancerkę i nadając ich ruchom rytm muzyczny. Film zapowiada się bardzo interesująco do momentu, kiedy postacie zaczynają być tylko ożywionymi ludkami, wykonującymi taneczne pass, nie przekraczające prawie sprawności ciała ludzkiego w tym zakresie. Pocóż więc całe czarodziejstwo linii, skoro wystarczyłyby sfilmowane popisy „prawdziwych" tancerzy? Kreskówka Skrobińskiego nabiera znów sensu, gdy linie zaczynają żyć własnym życiem, rozpadając się i tworząc nowe układy.

Ciekawe przedstawia się „Przygoda w paski" Aliny Kruk. Końcowa pointa tego filmu, co prawda osłabiona przez zbyt powolne tempo i dłużyzny w przebiegu akcji, jest wynikiem konsekwentnego wykorzystania możliwości tworzywa.

Pewnego rodzaju klasę stanowi z pewnością „Mały western" Witolda Giersza, zrealizowany przy pomocy plam barwnych wyobrażających charakterystyczne sylwetki kowbojów. Barwy służą tu nie tylko do ożywienia obrazu, lecz pełnią funkcję dramatyczną: gdy z dwóch walczących postaci zostają jedynie... mokre plamy (przykład dosłownej transpozycji na ekran metaforycznego pojęcia) i to kolorowe: żółta i niebieska, tworzy się z nich jedna sylwetka, odpowiednio większa i... zielona.

Oto przykłady zachowania konsekwencji tworzywa filmu rysunkowego w szerokim tego słowa znaczeniu. Niestety, przykładów takich mamy niewiele. Nieczytelne scenariusze i powolne tempo animacji zatracają niejeden efekt komiczny, możliwy do wydobycia jedynie przy odpowiedniej dynamice ruchu. Jeśli wziąć pod uwagę filmy realizowane techniką kombinowaną, to i w tym zakresie daje się zauważyć niekonsekwencja w wyborze tego właśnie tworzywa. Dlaczego „Pan Szaraczek" (scen. i reż. Kazimierz Oracz i Ryszard Raduszewski, projekty plast. Henryk Poulain) został wykonany w wycinance? Nic nie wskazuje na to, by scenarzyści w założeniach swego pomysłu mieli tę właśnie technikę. Jan Lenica natomiast tworząc „Nowego Janka Muzykanta" przy pomocy wycinanki uzyskał zderzenie i skontrastowanie bardzo różnych elementów plastycznych, co z kolei sugeruje dwoistość psychiki bohaterów, łączących w pojęciach swoich postęp techniczny ze starymi nawykami. Dzięki temu uzyskał efekt niemożliwy do osiągnięcia przy zastosowaniu innej techniki.

Zupełnie poronionym wydaje się pomysł realizowania filmów dla dzieci techniką „repollero", polegającą na wywoływaniu wrażenia ruchu nie klasyczną animacją, a ruchem kamery, przesuwami tła oraz za pomocą figur montażowych: roletek, przenikań itp.

Efektem jest bardzo zwolnione tempo, statyczność obrazu. W ten sposób został zrealizowany m.in. film „Jak to ze lnem było" (Leonard Pulchny) wg. bajki M. Konopnickiej. Młody widz odbiera tego rodzaju obraz, razi go statyka ruchów, którą poczytuje za nieudolność realizatorów.

Technika „repollero" właściwie została wykorzystana w „Ondraszku", ekranowej ilustracji znanej pieśni Hadyny. Nieruchome, demoniczne w stylizacji Kondka góralne postaci przerażają tragiczną martwotą, wyrażającą ból, trwogę i rozpaczę. Ale już nie narzuca się konieczność ruchu samych „aktorów". Wystarczają ruchy kamery, rozmaitość planów i ujęć do wydobycia właściwej pointy dramaturgicznej, wystarczy kruchość wysuszonej gliny, aby unaocznić sens metofory.

Na zakończenie chciałabym powtórzyć, że nikt nie kwestionuje celowości eksperymentowania. (tym bardziej, że eksperymenty bywają bardzo udane). Należy natomiast postawić pod znakiem zapytania sens powtarzania w nieskończoność tych samych błędów, powielania niezrozumiałych, niedowcipnych, wypranych z jakichkolwiek ciekawych pomysłów-scenariuszy, stosowania kiepskiej animacji, powolnego tempa, co w konsekwencji prowadzi do rezygnacji z możliwości pełnego wykorzystania tworzywa filmowego. Jaka jest bowiem społeczna użyteczność tego rodzaju produkcji? Chyba żadna...

TERESA GAJDEROWICZ

5 narodów, 15 mniejszości narodowych, 18 wyznań religijnych, 6 republik i 2 autonomiczne okręgi — jak podaje oficjalny informator — konglomerat meczetów z nowoczesnymi hotelami, cerkwi z boiskami sportowymi, plaży z grobami świętych, palm z baranimi kożuchami, mas plastycznych z dziegciem, baraniny z ostrygami, wschodu z zachodem — oto Jugosławia.

RYSZARD BRUDZYŃSKI

TO JEST Jugosławia!

Czy Jugosławia ma charakter kraju małoazjatyckiego, czy zachodnio-europejskiego? Trudno dać jednoznaczną odpowiedź. Jugosławia jest zbiorowiskiem różnych kultur i charakter poszczególnych republik, wchodzących w skład federacji jest różny, jak różny jest ich poziom życia i poziom kultury materialnej.

Nie wiem czy jest drugi taki kraj w Europie, który mógłby się poszczycić jednocześnie i śniegiem otulonymi turniami, i w słońcu skąpanymi, nadmorskimi plażami i dzikimi wertepami górskich połonin i lasów, i wspaniałymi, nowoczesnymi autostradami o świecących na środku pasach, i oliwkowymi gajami, i kamienistymi wzgórzami Krasu, i szumiącymi potokami, znikającymi w lecie, i rozległymi równinami, tworzącymi jeziora na wiosnę, i malowniczymi zamkami na skalistych szczytach, i starymi cerkwiami o średniowiecznych freskach.

Oto przedmieście Belgradu — małe domki, ciasne uliczki i podwórka — obraz XIX-wiecznego miasteczka na dalekiej prowincji (jak gdyby Wołomin lub Siedlce przed I wojną światową). Centrum Belgradu — wysokościowce, europejskie ulice, sklepy, bary, domy towarowe, rządowe budynki z ornamentyką fin de siècle'u. Na drugim brzegu Sawy rośnie nowy Belgrad. Różnokolorowe i architektonicznie interesujące bloki (włoski charakter architektury) zapełniają w artystycznie pomyślanym nieładzie dotychczasowe bagna, szuwary, piachy i bezdroża. Tuż obok lotniska wyrasta studenckie miasteczko.

Miasto, które pamięta Rzymian i Bizancjum, które Atylla, wódz Hunnów, w gruzy zamienił, które rozwinęło się następnie pod panowaniem Słowian, a przechodząc zmienne koleje losu pod panowaniem Turków, Austriaków i znowu Turków, które przeżyło serbskie powstania i hitlerowską okupację — dziś przeżywa okres renesansu, nie tyle odbudowy, ale intensywnej budowy w nowoczesnej formie.

O przeszłości miasta mówi stojący na wzgórzu u ujścia Sawy do Dunaju, stary gród Kalemegdan. Widać tu ślady pomieszania kultur i stylów — twierdza ze zniszczonym mostem zwodzonym mieści łaźnię i zabudowania, służące dziś różnym społeczno-wychowawczym celom, opodal statua zwycięstwa dłuta I. Mestrowića, w resztkach byłego parku — cmentarzysko pohitlerowskich czołgów i wraków samolotowych, baszty pamiętające tureckie panowanie, forty zbudowane przez Austriaków, pomniki, mury obronne, strzelnice, fosy, bramy — całość jest dziś mozolnie porządkowana i restaurowana.

Nie sposób opuścić Belgrad nie obejrzawszy jedynego meczetu, pozostałego z 30 niegdyś strzelających w górę spiczastymi minaretami i mauzoleum szeika Mustafy z r. 1783 i konaku księcia Miłosza w pięknym parku Topciderskim oraz stojącej opodal nadwornej kaplicy serbskich władców z r. 1834 i pomnika Vuka Karadzića na rogu Bulwaru Rewolucji i ulicy Roosevelta, i wzgórza Avala pod miastem, z potężnym pomnikiem poległych, symbolizującym w ośmiu kilkumetrowych, żeńskich postaciach, dłuta znowu I. Mestrowića — poszczególne ziemie i republiki jugosłowiańskie, i wielu, wielu innych zabytków, pomników, konaków i muzeów.

Jedynie do mauzoleum szeika Mustafy nie można się było dostać. Opuszczona, zaniedbana budowla, pilnowana jest przez jakiegoś starego muzułmanina, któremu dzieciarnia tak dokuczała, że nie mógł biedaczysko znaleźć klucza od zardzewiałego zamku.

BELGRADZKIE TREVISO

Znana jest w Rzymie fontanna Treviso i legenda z nią związana. Kto z cudzoziemców wrzuci do jej wód monetę — ten zapewnia sobie powrót do „wiecznego miasta". Chętnych i łatwowiernych nie brak. Któż by nie chciał wrócić do Rzymu? Toną więc w wodach fontanny dolary i szylingi, franki i marki, funty i liry. Dawniej monety te wyławiali pod osłoną nocy ulicznicy i biedacy, dziś pilnują „zatopionych" skarbów stróże bez pieczeństwa, wrzucane bowiem monety wyławiane są pono oficjalnie przez straż miejską, by zasilić miejskie fundusze.

Inny zwyczaj związany jest ze słynną wieżą głodu na praskim Hradczynie. Do zakratowanego lochu, który służył na więzienie szlachetnie urodzonych w tym „szlachetnym" celu, by zamorzyć ich tam głodem — wrzucają setki i tysiące zwiedzających drobne monety, by uchronić się — zgodnie z panującym wierzeniem — od śmierci głodowej. (Według innych, by zapewnić sobie powrót do Pragi).

Niedawno doniosła prasa, że niektórzy podróżni, korzystający z portu lotniczego w Orly pod Paryżem — wrzucają do basenu, zbudowanego we wnętrzu budynku portowego — drobne monety, przypisując basenowi czarodziejską moc i licząc na powrót do Paryża. Służba wyławia podobno z wnętrza basenu codziennie różne monety na sumę ponad 500 franków.

Również w Paryżu związane jest z pewnym nagrobkiem na cmentarzu Père Lachaise wierzenie, w myśl którego dotknięcie ramienia wykutej z kamienia postaci zapewnia powrót do Paryża. Ramię jest wygładzone i śliskie.

I Belgrad ma swoją „zbiornicę" monet, związaną z podobnymi wierzeniami. Na obszernym dziedzińcu Kalemegdanu stoi pękaty grobowiec jakiejś tureckiej osobistości. Przez zakratowane okno wrzucają wierni i łatwowierni do wnętrza wokół sarkofagu monety, by zapewnić sobie spełnienie swych życzeń. Nikt nie sprawdził, czy życzenia się spełniają, ale ktoś skwapliwie sprawdza w przeliczaniu twardych monet, ile warta jest jeszcze ludzka łatwowierność.

BUCZENIE ZABRONIONE

Zupełnie inny charakter ma Zagrzeb. Jest to miasto stare, z typową patyną byłej c. k. monarchii, z pałacykami w ogrodach, z teatrem, który, podobnie jak Teatr Słowackiego w Krakowie, lub teatry w Cieszynie i Bielsku jest wierną kopią wiedeńskiego Burgteatru, z niezwykle malowniczą starą częścią miasta, położoną na wysokiej górze, tak „wysokiej", że jedzie się na nią zębatą kolejką, wznosząc się na około 10 pięter w ciągu 1/2 minuty.

W starej części miasta poszliśmy z naszymi jugosłowiańskimi kolegami do oryginalnej restauracji „Pod wielkimi dachami". Dwie izdebki oświetlone lampkami imitującymi lampy naftowe i urządzone bardzo swojsko i ludowo, stwarzają niezwykle intymny nastrój. Przy jednym stole grupa młodych ludzi grała w karty. Przy drugim jakaś nie pierwszej młodości para nuciła monotonne przyśpiewki. A na ścianie napis: „Granie w karty i buczenie zabronione". (Właśnie „buczenie"!). Pomyślałem o powszechnej chyba wśród Słowian rozbieżności między nakazami, a życiem.

Na innej ścianie napis głosi: „Rozbijanie kieliszków i szklanek zabronione jest pod karą grzywny od 500 do 1.000 dinarów". Istnieje tu bowiem jakiś starosłowiański

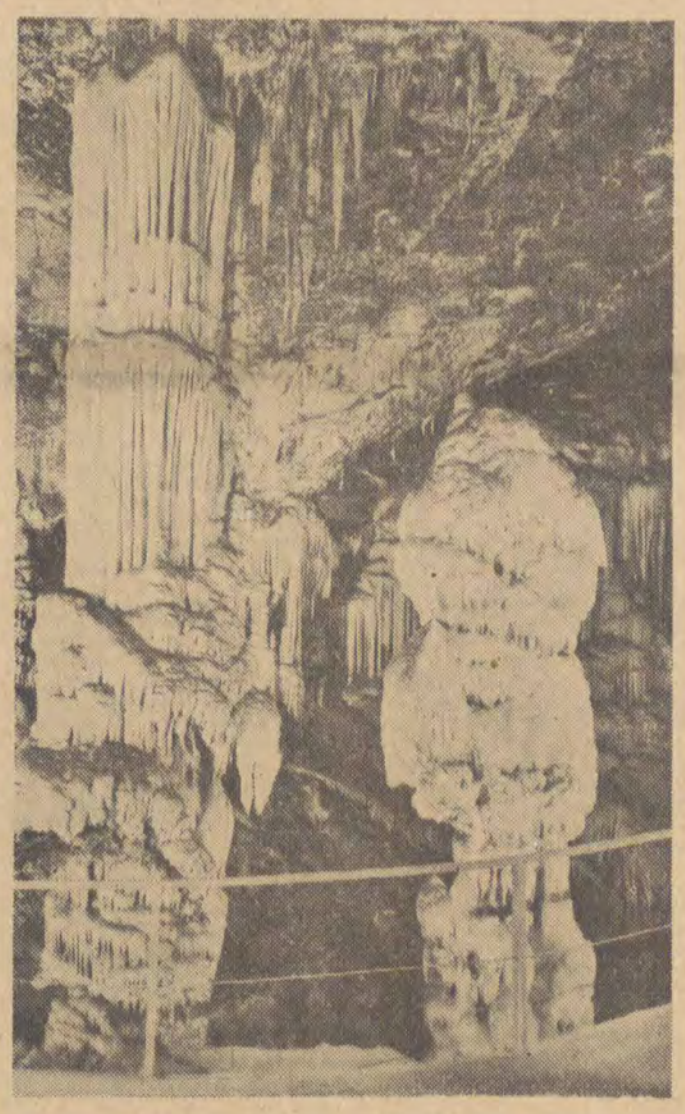

zwyczaj rozbijania szkła po wypiciu zawartości. To na szczęście.

Kilka domów dalej — stara studnia z wielkim kołowrotem, z przeciwnej strony na malowniczym placu kościół z mozaiką różnokolorowych dachówek, w głębi obserwatorium astronomiczne, niżej konserwatorium w starym, dobrze utrzymanym pałacu, opodal stara miejska brama, kryta drewnianym okapem z drewnianą, religijną rzeźbą we wnętrzu (nasze kroki dudnią po balach jak po moście zwodzonym), potem schody, wąskie przesmyki ulic i na obszernym placu wspaniała katedra okolona historycznymi domami z pałacem arcybiskupim na przedzie. Wszystko oświetlone wieczorem mdłym światełkiem gazowych lamp, które nadają uliczkom specjalnego uroku i XIX-wiecznego, a może i starszego kolorytu.

Dosłownie kilkanaście metrów od katedry — feeria świateł, jarzeniowe latarnie, neony, reklamy, w głębi jarzący się od świateł drapacz. To centrum Zagrzebia — Targ Republiki.

POSTOJNA

Trudno opisać wszystkie atrakcje Jugosławii. Nie mogę jednak pominąć Postojnskiej Jamy.

Jedziemy samochodem wspaniałą szosą, pełną serpentyn, wąwozów, wykutych w skałach i zakrętów, na których cierpnie skóra. Na rozległej polanie płynie rzeka. Płynie, płynie, płynie niemal równolegle z szosą — nagle... co to? Zamiast rzeki — krzewy, bujna trawa, zarośla, pełno zieloności. Rzeki nie ma.

— W tym miejscu znika pod ziemią — wyjaśnia mój towarzysz podróży.

Idziemy teraz wśród labiryntu stalaktytów i stalagmitów, podświetlonych z różnych stron reflektorami i tworzących fantastyczne figury. Oto głowa tygrysa, a tu kogut, tam sowa, a tu wielkolud. Po bokach zwieszają się czasem cienkie, kolorowe zasłony stalaktytowe, wyglądające jak pofałdowane portiery, a wydające — po uderzeniu — dźwięki podobne do dźwięków harfy lub szklanych słojów.

Z „sufitu" kapią stalaktytowe nawisy. Ze spadających kropel tworzą się, rosnące od „podłogi" stalagmitowe kolumny. Trudno nazwać tempo ich wzrostu dynamicznym — rosną bowiem „z szybkością" 1 milimetra na... 30 lat. Niektóre wykazują wielką żywotność, rosną, są kolorowe i mają białe główki, inne są już martwe, nie rosną, są szare, pokryte pyłem i ziemią.

Wydawałoby się, że w tym podziemiu nie ma żadnego życia. Trudno zresztą o życie, skoro słońce nigdy tu nie dociera.

A jednak... W miejscach, gdzie reflektory mocniej grzeją i gdzie tym samym zastępują słoneczne ciepło — wyrasta na szklistych powierzchniach zielony mech.

I jeszcze jest jeden przedstawiciel życia w tym królestwie ciemności — twór zwany pospolicie „ludzką rybą", a naukowo „proteus anguinus". Ni to ryba, ni żaba, ni krokodyl, ni dżdżownica — a jednak wykazuje niektóre cechy każdego z tych stworzeń. Długości ma ok. 20—25 cm, kolor szaroziemisty, kształt krokodyla, powłokę śliską, dżdżownicowatą, pływa w wodzie jak ryba, ale potrafi żyć również na powierzchni jak żaba i ma głowę jak gdyby ludzką z sterczącymi uszami. Jest to jakiś twór mocno zapóźniony w rozwoju, skarlały w podziemiu, wstrętny z wyglądu, jakiś szczątkowy okaz minionych epok.

Całe rodziny tych „ludzkich rybek" baraszkowały w podziemnych sadzawkach. Nie wziąłem żadnej „na pamiątkę". Po pierwsze dlatego, że są pod ochroną, a po drugie dlatego, że podobno giną na powierzchni ziemi.

WODA

Jadąc samochodem na Pół wysep Istryjski minęliśmy małą miejscowość Vrhnika z pomnikiem urodzonego tu wielkiego pisarza słoweńskiego Iwana Cankara, długą wieś Logatec, a następnie wjechaliśmy na szosę, wzdłuż której rozpościerała się w dole rozległa dolina, pełna bujnej roślinności, ale — jak okiem sięgnąć — pusta, pozbawiona jakichkolwiek domów i osad ludzkich.

— Pod tą równiną płyną podziemne rzeki — oznajmił jeden z moich znajomych. — Na wiosnę spływają tu wszystkie wody z okolicznych gór, zalewają równinę, jednocześnie występuje na powierzchnię przepełniony rezerwuar podziemnych rzek i cała równina zamienia się w olbrzymie jezioro. Dlatego nie ma domów. Jezioro wysycha w lecie i równina pokrywa się bujną roślinnością. Istnieje projekt zbudowania tamy z hydroelektrownią i utworzenia w miejscu tej równiny wielkiego sztucznego jeziora.

Przypomniał mi się film dokumentalny, który widziałem w Belgradzie, o położonej w Macedonii osadzie Tijanje. Osada, jak osada — chałupy, kury, bydło, płoty, pola; dzieci bawiące się na podwórkach. Potem pojawia się śnieg, zima, dzieci spieszą do szkoły. A potem przychodzą wiosenne roztopy, woda zalewa podwórka, wdziera się do stodół, do izb, pokrywa płoty, zamienia sioło Tijanje w wielkie jezioro ze sterczącymi nad wodą chałupami. Życie jednak nie zamiera. Łódkami płyną dzieci do szkoły, łódką przeprawia się do chałup listonosz z listami, na łódkach płynie młoda para i jej weselny orszak. W lecie woda wysycha — sioło wraca do normalnego życia.

RAUBRITTER I KRZYŻACY

Triest widziałem ze szczytu góry, na której stoją mury zamku Cocerb. Zamek niegdyś warowny — dziś kryje w baszcie podrzędną tawernę z mieszkaniem właściciela. Na baszcie chwieje się antena telewizyjna. Z kuchni dolatują zapachy rybnych kotletów smażonych na oleju.

Był jednak zamek, który mi zaimponował. Nazywa się Predjamski Grad. Wyobraźcie sobie potężną skałę wysokości kilkuset metrów i w tej skale wkuty — niczym orle gniazdo nad przepaścią — zamek. Komnaty są tak zbudowane, że tylna, a czasem i boczne ściany, to naturalna skała, jedynie przednia ściana jest dobudowana.

Zamek, który pamięta rzymskie czasy, był w średniowieczu twierdzą nie do zdobycia. Dojścia broniła skalista przepaść (most zwodzony był w czasie oblężenia niszczony). W razie zdobycia zamku załoga mogła bezpiecznie ujść ciągnącym się w skale na kilkanaście kilometrów labiryntem podziemnych korytarzy, mających ujście po drugiej stronie góry. Załoga mogła przetrzymać najdłuższe oblężenie — specjalnie wykute w skale rynny sprowadzały wodę deszczową do zamkowego zbiornika.

Zamek zasłynął w XIV w. za niejakiego Erazma Leugera — typowego dla owych czasów Raubrittera. Leuger tak się dał we znaki możnym (dla ludu był podobno dobroczyńcą), że wreszcie sam cesarz wysłał wojsko, które obległo zamek. Oblężenie spełzłoby pewnie na niczym, gdyby nie przypadek — Leuger zginął przygnieciony spadającym głazem. W XVIII wieku usadowił się w zamku ród Windischgrätz.

Znacznie wygodniejsze życie urządzili sobie mnisi w zamku-klasztorze, zbudowanym na szczycie skały, wznoszącej się nad pięknym jeziorem Bled u stóp Alp Julijskich. Dookoła lesiste góry, na horyzoncie skaliste i ośnieżone turnie, a w kotlinie gładka tafla niemal kolistego jeziora z niemal kolistą wysepką na środku. Na wyspie kościół. W niedzielę płyną jeziorem z wszystkich stron łodzie i kajaki z wiernymi na nabożeństwo.

Nad jeziorem Bled stoją wspaniałe, luksusowe hotele, wille i pałacyki, nie brak i zameczku prezydenta Tito. (W Belgradzie opodal kancelarii prezydenta stoi w parku „Biały Dom" — siedziba Broz-Tito).

Zamek nad Bledem, niegdyś siedziba mnichów — przypomniał mi o innym zakonie, dobrze nam znanym, z którego śladami zetknąłem się również w Słowenii. W Lublanie stoi były klasztor, dziś wykorzystany na cele kulturalno-oświatowe, należący ongiś do osławionych i tu Krzyżaków. Nie odegrali oni w Słowenii tak zgubnej i ponurej roli jak w Polsce, ale i Słoweńcy utożsamiają do dziś zakon krzyżacki z germańską butą, okrucieństwem i zaborczością.

Kościoły nie zawsze spełniają w Jugosławii rolę im niegdyś przeznaczoną. W tej samej Lublanie mieści się wytwórnia „Triglav-Film" w byłym pojezuickim kościele. Jezuici, władający tym kościołem, wykazywali w czasie ostatniej wojny wyjątkowo przyjazne uczucia dla hitlerowców, pomagając im czynnie. Dziś — w głównej nawie kościoła, budowane są dekoracje filmowe.

EWA BAGIŃSKA i MICHAŁ ZEGAROWSKI

BEZ KIJA I BEZ NOŻA

Niedziela. Zimny porywisty poranek. Na jedenastą umówiliśmy się z Cześkiem, jednym z piwnicznej „paki" na Krawieckiej. Ale Krawiecką trudno znaleźć nawet na planie Łodzi. Nowa ulica — krótka, wciśnięta między prostokąt ciepło pomalowanych nowych bloków na Bałutach. Wysoki, błękitny trzypiętrowy dom wyrósł przed nami. Gdzieś, jakby z podziemi słychać było przytłumione murami odgłosy uderzeń. Kowal w nowoczesnym bloku?

Jeden, dwa, trzy... następowały kolejne uderzenia, w nierównych odstępach czasu przerywane głośnymi choć stłumionymi salwami śmiechu.

Stoimy w klatce schodowej. Na wprost, lekko uchylone drzwi wiodące do piwnicy bloku. Dokoła leżącego na chwiejącej się ławce Cześka skupiła się jego „paczka". Podnosił z wysiłkiem coś, co miało imitować sztangę, jakiej używają ciężarowcy. Był to gruby żelazny pręt, obwieszony żelastwem różnego rodzaju i kształtu. Dwa krążki metalowe pokryte rdzą, podobnego koloru sześciany, dwukilogramowe odważniki przywiązane cienkim drutem.

— Raaz, dwaa — liczyli głośno chłopcy.

— Weźcie, więcej nie mogę.

W tej samej chwili ktoś odbierający od niego „sztangę", lekko ją przechylił. Sześciany spadły na posadzkę, odważniki urwały się, mogły spaść na nogę któregoś z paczki.

WPROST ZE SCHODÓW

Schodzi się do małego pomieszczenia, które trudno nazwać izbą. Ot, po prostu mały piwniczny hall. Na prawo i lewo rozchodzą się wąskie ciemne korytarze. Tam są komórki, pralnia i schron. Pod sufitem dokoła hallu rzuca się w oczy natrętny widok plątaniny zardzewiałych rur wodociągowych. Przez warstwę kurzu na kloszu lampy sączy się słabe światło piętnastowatowej żarówki. Woń gnijących ziemniaków, nie pozwala na dłuższe przebywanie w piwnicy. Tym bardziej na prowadzenie ćwiczeń. Mdło. Duszno.

Zawieszone na rurach haczyki z drutu niepewnie trzymają ciężkie zimowe płaszcze i marynarki. Mała zaimprowizowana szatnia.

Nie od razu przyszło im ćwiczyć w warunkach, jakie dawał piwniczny hall. Zaczęli w jednym z piwnicznych korytarzy, gdzie prawie nie dochodzi światło. Drążek do zaprawy gimnastycznej zastępowała rura kanalizacyjna. Trzymając pokrytą rdzą rurę, dawali upust swym sportowym namiętnościom. Aż pewnego razu...

— Schodzę do piwnicy — mówi dozorczyni — i widzę jak ten blondyn Palczewski podnosi w korytarzu ciężary. Co wy tu robicie — pytam ich. „Widzi pani, powiadają mi, bawimy się w ciężarowców". Przecież wam tutaj niewygodnie, dlaczego nie bawicie się obok schodów? — „Nie wiemy czy można".

— A co mi tam, mnie nie przeszkadzacie. Potem to ja sama chciałam podnieść te ich ciężary, lecz o mało nie przewróciłam się. Takie to było ciężkie. Oni są silni. Podnosili je jak piórko.

Prawdziwi sportowcy — kończy dozorczyni, starsza już kobieta.

Osobny rozdział w historii paczki stanowią przyrządy do kulturystycznych ćwiczeń. Mają one popularną polską markę „made in zbierane". Tak. Wszystkie zrobili własnym przemysłem. Nieodłączny rekwizyt — ławkę, zabrali jednemu z lokatorów. Stara, zniszczona, więc nic nie mówił. Stała samotnie obok komórki, zaopiekowali się. Postanowili wykorzystać ławkę. Przy wyciskaniu większych ciężarów ławka trzeszczy chwieje się stojąc niepewnie na betonowej posadzce.

Janek pracuje na budowie. Odłożył na ok dwa klinkiery. Sześciokątne, którymi wykładane są jezdnie. Pod osłoną wieczoru cała paczka przeniosła je do piwnicy, z należnymi honorami. Inny znów przyniósł puszki po mleku w proszku. Wypełnione ołowiem służą do ćwiczeń wzmacniających mięśnie barkowe. Z zakamarków swej komórki Czesiek wygrzebał dwukilogramowe odważniki wagowe.

Gdy spytać ich, jaki ciężar jest na sztandze, to na ścianie lub w pamięci robią przybliżony rachunek.

METAMORFOZA NIEUFNOŚCI

Spotkali się w Technikum Mechanicznym i wieczorowym Technikum Budowlanym. Wspólne zainteresowania — kulturystyka. Zamiast włóczyć się wieczorami po bałuckich zakamarkach, będziemy ćwiczyć — postanowili. To lepsze od beznadziejnego wystawania na rogu ulicy. Ułożyli swój regulamin. Nie wolno im palić papierosów, pić alkoholu — nie tylko w czasie ćwiczeń — regulamin zabrania używać w stosunku do siebie nieparlamentarnych wyrażonek. Kto przekroczy przepisy, jest bezpowrotnie usuwany z „paczki". Staszek W. chciał razem z nimi ćwiczyć, ale pił wódkę i palił „Sporty". Postawili tedy sprawę jasno: „albo przestaniesz pić i palić, a będziesz z nami ćwiczył, albo też nie chcemy ciebie znać".

Teraz nie pije wódki, nie pali. Natomiast z zapałem zabiera się do ćwiczeń. Uleczyli w porę jednego chłopaka, bo już mówiło się o nim: — „bez kija i bez noża nie podchodź do bałuciarza".

Ich pierwsze spotkania nie były przyjmowane z sympatią przez mieszkańców bloku. Ten i ów, krzywo patrzył na młodych „wariatów".

— Ot, schodzą się do piwnicy, żeby sobie popić — mawiali — czemu pani im pozwala spotykać się w piwnicy? — jeszcze pozrywają kłódki od komórek, będą kraść, a potem pić — mówili dozorczyni.

— Mnie tam nie przeszkadzają, są grzeczni, pomagają mi, wódki wcale nie piją, a że jakieś tam cuda wyczyniają. No, przecież są młodzi — odpowiadała.

Normalna ludzka reakcja na wszystko, co jest nowe, co wprowadza pewną zmianę w życiu środowiska. Mimo braku sympatii, lokatorzy przez dziurkę od klucza zerkali do piwnicy. Intrygowało ich, co też oni tam robią.

Czas mijał, a oni ćwiczyli dalej. Początkowa nieufność przerodziła się w sympatię. Nic nie zginęło, kłódki jak wisiały tak wiszą, butelek od wódki nie znaleziono.

Młodzieńczy upór i ambicja zwyciężyły. Bo wszyscy oni są bardzo młodzi. Przeciętna wieku około 18 lat. Wszyscy chodzą do szkoły, pracują, często wspólnie u Cześka odrabiają lekcje. Słowem zgrana paka. Wychodzą z założenia, że ćwiczenia nie mogą kolidować z nauką. Czesiek, Janek, Stefan, Staszek, Czesiek Drugi i jeszcze wielu innych.

PRZYBYŁA WIOSNA

I przyniosła dla paczki z Krawieckiej dość dużą dawkę optymizmu. Nadejdą słoneczne popołudnia i paczka będzie mogła wyjść z piwnicy na powietrze. Do ogrodu.

— Przyjdźcie do nas latem to dopiero pokażemy wam jak się naprawdę uprawia kulturystykę — mówili nam.

„Gwoździem" programu jest niewątpliwie wyciskanie klinkierów. Każdy z chłopców chce pokazać, jaki jest silny. Do niedawna tylko jeden je wyciskał — Czesiek. Naprawdę przyjemnie jest patrzeć na jego technikę wyciskania. Robi to z pewną elegancją. Lekko. Nikt go nie trenował, poza broszurką Zakrzewskiego: „Jak stać się silnym i sprawnym". Przy odpowiedniej pomocy trenera, mógłby wyrosnąć z Cześka wartościowy zawodnik.

Po kilku ćwiczeniach do Cześka dołączył się Janek, a ostatnio Stefan. Rywalizują między sobą o miano najlepszego, w atmosferze koleżeńskiej zazdrości innych członków paczki. Rzecz chyba najbardziej ciekawa. Nie chcą oni uprawiać kulturystyki w klubie sportowym.

Skąd to uprzedzenie?

Wychodzą z założenia, że najlepiej trenować, gdy czuje się potrzebę treningu, gdy nikt nie zmusza. Lubią swobodę. Natomiast — jak twierdzą — w klubie będą mieli wyznaczone dwie, względnie trzy godziny treningu i później koniec, ponieważ inna sekcja będzie miała zajęcia. Poza tym zostaną im wyznaczone porcje treningowe, podczas gdy sami mogą sobie urozmaicać zajęcia różnorodnymi ćwiczeniami.

W tym miejscu kłócimy się. Bo chyba nikt nie wątpi, że pod okiem trenera można uzyskać większą sprawność. A więc o co chodzi chłopakom z Krawieckiej?

Innnym, bodaj najważniejszym powodem, dla którego nie ćwiczą w klubie jest to, że chodzą do szkoły. Mają wolne tylko środy i niedziele. Jak nam mówili, zajęcia sekcji kulturystów odbywają się akurat w inne dni tygodnia. Naukę zaś wyżej sobie cenią. Nadchodzące wolne lato dopinguje paczkę jeszcze bardziej. Chcą wyjść ćwiczyć do ogrodu, a boją się kompromitacji w oczach mieszkańców bloku. Oparta o schody ławka piszczy więc niespokojnie.

KULTURYSTYKA

jest ostatnio bardzo modna wśród młodzieży. Szczególnie wśród młodzieży robotniczej. Z kim nie porozmawiać — każdy ma znajomego faceta, który uprawia kulturystykę. Sam, względnie w paczce. Dziko. W domu, lub w piwnicy.

Jakie są powody dzikiego uprawiania tego sportu? Dlaczego stronią młodzi chłopcy od klubów? Trudno odpowiedzieć na to pytanie jednym zdaniem. Niektórym na przeszkodzie stoi szkoła. Inni nie mogą sobie pozwolić na wydanie sześćdziesięciu złotych, by opłacić trenera w klubie. Są też tacy co lubią ćwiczyć sami, bez żadnych nakazów. Chcą być wolni, nie kontrolowani. Tych ostatnich jest chyba najwięcej.

A fachowa opieka trenera jest konieczna, martwe słowa podręcznika nie zastąpią żywych przykładów. Tym bardziej, że kulturystyka jest niczym innym, jak sportem, ułatwiającym proces ogólnego rozwoju, szczególnie młodego organizmu. Dlatego też trzeba i należy wyprowadzić ich z błędnej drogi. Należy wskazać im właściwy tor rozwoju. I tutaj szerokie pole otwiera się przed aktywem organizacji młodzieżowych (czytaj Z.M.S.) i T.K.K.F. Zresztą pod adresem tej ostatniej organizacji ciśnie się pod pióro szereg uwag.

Rokrocznie w okresie letnim organizowane są turnieje dzikich drużyn piłkarskich z naszego miasta. Ba, funduje się dla nich nawet puchary przechodnie, nagrody.

— I co z tego? — pytamy.

Jaki pożytek z tych turniejów? Czy poziom łódzkiego futbolu podniósł się? Przeciwnie, świadczą o tym wymownie wyniki uzyskiwane przez piłkarzy. Czy dla „dzikich" kulturystów z piwnic i izb mieszkalnych nie można by zorganizować podobnego turnieju? Wystarczy zrobić przegląd ich umiejętności i sprawności a impreza z pewnością chwyci. Trybuny hali sportowej nie będą świeciły pustkami. I propaganda, popularyzacja sportu skoczy o szczebel wyżej. Najzdolniejszym z nich należy stworzyć dogodne warunki rozwojowe. Warto chyba spróbować.

BOHDAN DROZDOWSKI

KROPLA

Sceżnij klombie podcięty
Oko przebrzmiałe nad pobukiem trzmiela
w kropli postrzega światów firmamenty
deszcz wisi z wierzby niby flet minstrela
dno kropli bada ruch obłoków ponad
opętanym komarem
jaskółką stokrotną
Być nisko Płasko W kropli Ona
sprawia że lotno

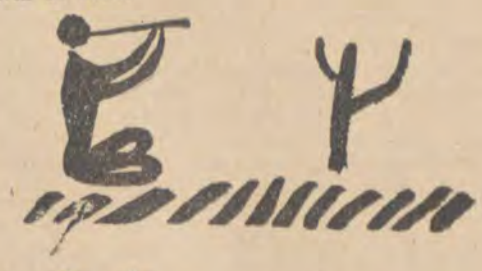

Interludium SEZONY

Przebij się do mnie przez mą nieudałość,
wyżeń leniwość moją tak niewczesną,
pierś dobądź, masz cieniście białą,
cierpką jak wiosna gdy jest jeszcze zwiesną.

Ukaż się cała, odsłoń jurną gibkość,
zrzuć maskę pani, bądź dziewucha płocha,
zanim nas Pambuk tak bardzo pokocha,
że tylko fotka zostanie za szybką.

SZTUKA

Trwa to u spodu taksujących spojrzeń
pomiędzy smutną a cenną ruiną
patrzy
gipsowy podrapany Mojżesz
na łydki dziewczyn
co schodami płyną

Zbieg ud wybornych
i ust chichot łatwy
pierś co spod czarnych swetrów się wynurza
palce i miary młodych samców gmatwa
jurność tak prędka jak grzmot arkebuza

Sączy się zieleń z kasztanu i oka
płótno wysysa
sztuczny blask pierścienia
Stoi przed ramą
dufna i wysoka
Venus wykuta z jednego westchnienia

Rwie glinę w kluchy i miota na szkielet
dobija pędzlem
w ram trojańskie wrota
z nich się wypiętrzą
porażek gardziele
o rysach Niobe
zgięciach żony Lota

Gorzko tu
potno gliniaście i hardo
kłapią krzyżyki dokoła szkieletów *)
A cisza
wisi kształtem amuletu
na szyjkach sekund podobnych petardom

*) krzyżyki i szkielety — modeluje się rzeźby na szkieletach z drutów z ponawieszanymi krzyżykami z patyków dla utrzymania gliny.

JACEK LEBEN

Patrzymy na Wiedeń

Wiedeńskie spotkanie między premierem Związku Radzieckiego Nikitą Chruszczowem, a prezydentem USA Johnem Kennedy zapowiedziane na 3 i 4 czerwca jest sensacją polityczną wielkiego kalibru. Jeszcze dwa tygodnie temu nikt zapewne spoza najwyższego kręgu dyplomatycznego wtajemniczenia nie mógł spodziewać się takiego obrotu sprawy. Okres ostatni odznaczał się przecież wzrostem napięcia międzynarodowego i ochłodzeniem stosunków między Związkiem Radzieckim a Stanami Zjednoczonymi. Nadzieje na możliwość skutecznych rozmów Wschód — Zachód rozsypywały się w wyniku awantury Stanów Zjednoczonych na Kubie i agresywnej polityki laotańskiej.

Spotkanie wiedeńskie to nie rokowania ze sztywnym porządkiem dziennym, uciążliwym protokołem i nasuwającą się koniecznością podpisania wspólnego komunikatu. W czasie tego spotkania nie muszą być podjęte żadne wiążące decyzje. Będzie to natomiast wymiana poglądów na najwyższym z wysokich szczebli. Będzie to pierwszy osobisty kontakt dwojga ludzi, którzy w dużym stopniu wpływają na losy wszystkich krajów i wszystkich mieszkańców tego globu. Znaczenie takiej wymiany poglądów trudno przecenić. Premier Związku Radzieckiego, Nikita Chruszczow oceniany jest w świecie jako mąż stanu i polityk, który nie lubi wieży z kości słoniowej, który ma oczy szeroko otwarte, a umysł chłonny na wszystko co się dzieje w świecie, na procesy, które przez ten świat przechodzą. Jest to najwyższej klasy realista, a to najwyższa chyba cnota u człowieka, który w rękach swych dzierży dźwignię do światowych wydarzeń.

Prezydent Kennedy, również polityk o nieprzeciętnych talentach, który próbkę swego realizmu dał w ocenach międzynarodowej i wewnętrznej pozycji Stanów Zjednoczonych złożonych w pierwszych tygodniach swojego urzędowania. Blask jego realizmu wyblakł na pewno w wyniku inwazji na Kubę, której dał swoje błogosławieństwo. Należy jednak zdać sobie sprawę z tego, że prezydent Stanów Zjednoczonych skupiający w swoim ręku ogrom formalnych uprawnień, jest poniekąd więźniem określonych sił politycznych, krzyżujących się tendencji i różnorakich interesów poszczególnych grup.

Spotkanie wiedeńskie jest zresztą dowodem, że Kennedy nie jest więźniem szablonów dyplomacji i to należy mu zaliczyć na plus.

Niezmiernie ciekawa jest aura, która towarzyszy przygotowaniom do wiedeńskich rozmów. Lakoniczne komunikaty ogłoszone jednocześnie w Moskwie i Waszyngtonie rozpętały przecież istną feerię komentarzy, przypuszczeń i spekulacji. Prasa i politycy radzieccy zachowują jak dotąd demonstracyjny spokój. Żadnych istotniejszych komentarzy, jak gdyby chęć pokazania, że ciężar zagadnienia tkwi po drugiej stronie barykady. Jeżeli Zachód wykaże dobrą wolę, rozmowy zakończą się powodzeniem. A więc pożyjemy, zobaczymy.

W Stanach Zjednoczonych opinia polityczna jest podzielona. Część kół politycznych popiera ideę spotkania, część gwałtownie ją krytykuje. „Paris Jour" tak pisze na ten temat: „Państwa, które chciałyby przeciwstawić się tym rozmowom, między Kennedym, a Chruszczowem mogą posłużyć przede wszystkim za punkt oparcia dla sił przeciwnych tym rokowaniom w samych Stanach Zjednoczonych: dla CIA, części Pentagonu, części floty, pewnych aktywnych elementów w komisjach Kongresu lub pozostałościom „lobbe chińskiej". Jest to więc sprzeciw sił zdeklarowanie zimno-wojennych, ale rzecz ciekawa, wsparty jest on przez tych, którzy wskazują na niedogodną pozycję Stanów. „Le Monde" stwierdza: „Chruszczow przystępuje do tej konfrontacji ze znakomitych pozycji, ze względu na rozmiary ostatnich porażek Amerykanów na Kubie i w Laosie".

W NRF dominuje niechęć, we Francji brak entuzjazmu, w Anglii poparcie dla idei spotkania przeplatane obawami z powodu wyeliminowania Anglii z dialogu supermocarstw. Wszyscy czekają na Wiedeń.

Świat ludzi konkretnych

(Z okazji wystawy prac Jerzego Nowosielskiego)

Przpomina się mimo woli stare powiedzonko o prorokach we własnym kraju. Dokładnie przeanalizowana i wysoko ceniona przez najpoważniejszych polskich krytyków, dobrze znana krajowym miłośnikom sztuki, prezentowana wielokrotnie zagranicą twórczość Jerzego Nowosielskiego nie doczekała się jakoś zasłużonej popularności w Łodzi, choć artysta od wielu lat tutaj mieszka. Wynika to chyba nie z tego, że jest to malarstwo wyjątkowo trudne, raczej z tego, że trudno je przyczepić do jakiegoś określonego nurtu.

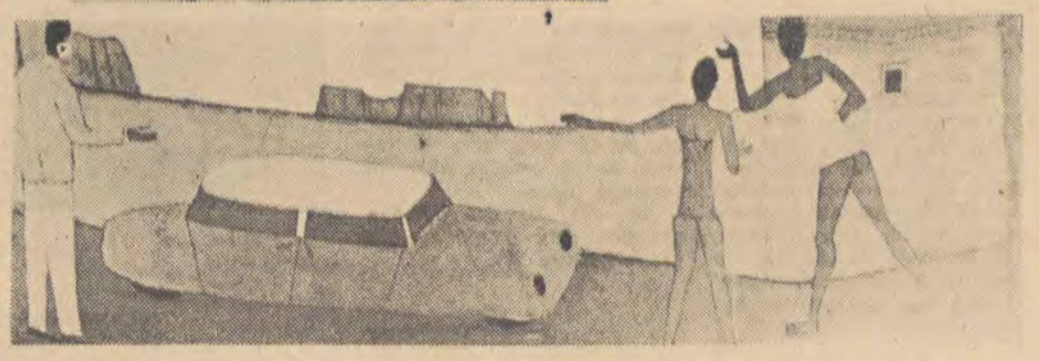

Przysięgli bywalcy wystaw — jeśli odliczyć zadufków wypisujących żałosne dowcipy w książce uwag — wierzą na ogół, że naturalizm to konwencja zacofana i nietwórcza, że modny w dwudziestoleciu poimpresjonistyczny koloryzm przeżył już swoje najlepsze lata, że współczesnych — chociaż nie zawsze godnych pochwały — treści metafizycznych doszukiwać się można w nadrealiźmie, ale że naprawdę nowoczesna jest wyłącznie sztuka abstrakcyjna. Do jakiej więc szufladki zakwalifikować malarstwo przedstawiające, aczkolwiek jawnie antynaturalistyczne, odżegnując się w swej wyrafinowanej prostocie od uroków i smaczków koloryzmu, a jak na surrealizm zbyt wyraźnie manifestujące konkretną, ziemską przedmiotowość? Jestże Nowosielski nowoczesny, czy nie jest?

Krytycy piszą o twórczym wykorzystaniu tradycji, o bizantyniźmie, ikonach i Modiglianim, o inspiracjach sztuki ludowej i świadomym prymitywizowaniu, o swobodnej choć temperowanej — grze wyobraźni: niedopowiedzianych do końca aluzjach i podtekstach ukrytych za ostentacyjną, oschłą rzeczowością. Podkreślają przy tym kontrast między wielkim bogactwem treści—częściowo tylko ujawnianym bezpośrednio, a przeważnie podsuwanym w skojarzeniach — i surową dyscypliną formalną, wyniesioną z twardej szkoły abstrakcyjnego myślenia.

Istotnie w pracach Nowosielskiego już na pierwszy rzut oka można wyróżnić elementy, których rodowód jest zupełnie oczywisty. A więc ascetyczne portrety dziwnie podobne do wizerunków ortodoksyjnych eremitów. A więc modelki i pływaczki przypominające wielonczelowatym kształtem archaiczne idole sztuki egejskiej. A więc monastery i cerkiewki, niezgrabne i nieefektowne, jakby wspominki o ludowych drzeworytach lub jarmarcznych kramach z zabawkami. A z drugiej strony: wyprowadzoną z doświadczeń jak najbardziej dwudziestowiecznych, klasyczną jasność konstrukcji obrazu, plakatową niemal kondensację formy, szczególnie widoczną w sumarycznych, abstrakcjonizowanych — bo nie abstrakcyjnych — pejzażach.

Jednak nie forma, ani — modne dzisiaj — źródła inspiracji, a raczej nie tylko one, świadczą o nowoczesności tego malarstwa. Przesądza o tym stosunek Nowosielskiego do świata.

Jest to świat konkretnych ludzi i konkretnych przedmiotów, istniejących a nie tylko pomyślanych, ale poddanych kontroli umysłu, który w chaosie zjawisk chce i umie dokonać selekcji. Umysłu, który wybiera.

H. A.

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

„Mnie się też coś od życia należy"

To stereotypowe zdanie powtarzają często nie tylko zalatujące octem, gotowe na wszystko, stare panny i niedopieszczone rozwódki, ale także młodzi ludzie, których ambicje przerastają o wiele ich zdolności. Jeszcze niczego dla życia nie zrobili, a już wszystkiego od życia żądają. Są to zazwyczaj łaskawie przez naturę ukształtowani zewnętrznie chłopcy i dziewczęta, ale tylko — niestety — zewnętrznie, bo od wewnątrz całkowicie wydrążeni z jakichkolwiek poważniejszych dążeń, prócz ślepej żądzy dominacji i użycia za wszelką cenę.

To oni właśnie, unikając mozołu zdawania matury, siadają na rower lub motocykl i jadą na wagary, aby potem po smutnej klapie w szkole tłumaczyć się jedyną motywacją ich nygusostwa, że im „się też coś od życia należy". To przykład dziecinny, ale iluż dorosłych tak robi! Nie umiejąc niczego, biorą się do wszystkiego, a czegokolwiek się dotkną — spartaczą. W wieku ścisłej specjalizacji i z mozołem zdobywanego mistrzostwa w powszechnym awansie racjonalnie pojętej zawodowości, uprawiają rozkosznie beztroski dyletantyzm, motywując go bezmyślnie domniemanymi w sobie możliwościami improwizacji. A kiedy te z latami, zamiast kiełkować i owocować, wylęgają z siebie robaki wątpliwości, zalewają je obficie trunkami pocieszenia. Tak oto rodzi się znane powszechnie niewybredne w zewnętrznych objawach i wewnętrznych konsekwencjach pijaństwo młodych i starych adeptów pięknej, lecz piekielnie trudnej sztuki pisania, malowania, odtwarzania tajemniczych gestów doli ludzkiej w teatrze i na filmie, w rzeźbie i w muzyce.

Nic tedy dziwnego, że spośród stu powołanych, jeden zaledwie jest wybrany. Reszta, zawiedziona srogo w swych zbyt zarozumiałych, bo na niczym konkretnym nie opartych rachubach, uprawia apokaliptyczny, a więc antyżyciowy, szloch i zgrzytanie zębów, wołając rozpaczliwie: — Mnie się też coś od życia należy?

— Dobrze. Ale, co?

— G...! — pada nieoczekiwanie trafna odpowiedź kogoś bezstronnego.

Rzeczywiście. Przede wszystkim trzeba by zapytać: — Za co?

Żeby czegoś od życia żądać, trzeba wprzód coś temu życiu dać. Życie samo przez się nic nikomu i nigdy nie daje, prócz jedynie życia samego, co już jest samo przez się skarbem bezmiernym i bezcennym. To my właśnie życiu coś zawsze jesteśmy winni, a nie życie nam. Życiu też się coś od nas należy. Co? Wszystko. Bo wszystko, co oddajemy życiu — życie oddaje nam zwielokrotnione. I tylko pod tym warunkiem, że wszystko oddajemy życiu, wzamian nie żądając nic. Nie żądając nic, otrzymujemy wszystko. Czy to mistyka? — Nie — najrealniejsza w świecie dialektyka.

Czytałem niedawno w „Kierunkach" dość składną nowelkę pewnego młodzika. Opisuje podobnego sobie bohatera, jak patrzy na film z ostatniej wojny i potępia w czambuł wszystkie pokolenia wstecz: co one, do cholery, za warunki mu stworzyły? Co zostawiły w spadku? Wysokie, jak Alpy zwały trupów, czerwone morza krwi, dym myśli, swąd uczuć, gruzy i ruiny dosłowne, duchowe i moralne. A niech was jasny piorun, przecież mnie się coś od życia należy? Oto konkluzja tej nowelki.

Ten facet w poprzednich pokoleniach, którym zawdzięcza zarówno życie, jak i wynalazek filmu, i warunki, że właśnie ten film może oglądać, niczego nie zobaczył, prócz tylko sprawców tych trupów, krwi, dymu, swędu, ruin i zgliszcz czyli morderców, a pominął skwapliwie tych, którzy walczyli z tymi mordercami, którzy wśród dymu i swędu tworzyli z trudem i w mozole nowe myśli i budzili nowe bardziej ludzkie uczucia, odbudowywali spośród gruzów nowe domy i wznosili wśród ruin nowe miasta, w których ten potępiający ich tak bezapelacyjnie facet ogląda teraz ten stworzony przez nich film. Oni wszystko życiu dali, a więc jemu, nawet życie własne, nie żądając od życia niczego, a on nic jeszcze życiu nie dał, ale już od niego żąda. Czego? Tego właśnie, czego życie spodziewa się od niego: stworzenia świata na nowo, świata bez trupów, bez ruin i zgliszcz — słowem: świata bez wojny.

Ale dokonać tego można będzie tylko pod warunkiem, że młode pokolenie przyjmie nową dewizę: „Nie nam od życia, ale życiu od nas wszystko się należy".

ALEKSANDER POSTOŁOW

Rozmowy o polityce kulturalnej (V)

Koło kręci się w miejscu

Ja także w sprawie kultury, Panie Redaktorze. Proszę, niech się pan nie zżyma, ani mi w głowie załatwiać porachunki osobiste. Kultura to pretekst wygodny, ale już wyświechtany. Czas wymyślić coś nowego, tak aby intencje wyglądały szlachetnie i pomagały z niewinną miną przypinać przyjaciółom przysłowiowe „łatki". Nie, ja naprawdę o polityce kulturalnej i jeśli będę dyskutował z autorem dowcipnego artykułu „Koło się kręci" („Odgłosy" nr 13 (167) z 14. V. 1961 r., to tylko jako z inspiratorem poniższych uwag.

Już na wstępie swych rozważań Henryk Anders darzy nas sporą porcją pesymizmu. „Nie wierzę w masowe transmisje kultury — w telewizję, w audycje radiowe, w książkę jako narzędzia upowszechnienia w miejscowych, łódzkich warunkach". No cóż, wiara, wraz z jej irracjonalnymi przesłankami, jest poza dyskusją. Tu nie zawsze działa logika faktów. Jeśli jednak Anders chciał w ten sposób wyrazić powątpiewanie w zasięg oddziaływania wymienionych instytucji kulturalnych, to fakty, które ilustrują cyfry zaczerpnięte przeze mnie z „Małego Rocznika Statystycznego m. Łodzi 1945—1958" (Prez. RN m. Łodzi, Łódź, 1959) mówią o czymś innym. Otóż posiadaczy radioaparatów lampowych było w naszym mieście w r. 1957 124.000, a w r. 1958 — 166.000, abonentów telewizji było w r. 1957 948, a w r. 1958 już 4.763,obecnie blisko 20 tysięcy. Jeśli zaś przy tym zważymy, że w świetlicach, w domach kultury, klubach telewizory są tłumnie oblegane, to liczba telewidzów sięgnie co najmniej 100 tysięcy. To też niemało. O roli, jaką książka odgrywa w upowszechnieniu kultury, świadczyć mogą cyfry wypożyczeń w bibliotekach powszechnych. Ciekawych odsyłam do cytowanego już przeze mnie „Małego Rocznika Statystycznego m. Łodzi". Nawet dane statystyczne Andersa (autor nie podaje źródeł) nie upoważniają do pesymizmu, skoro aż 66 proc. robotników czyta książki. Trudno zresztą przypuszczać, by Anders, doświadczony w sprawach kultury wyga, nie dostrzegł atrakcyjności radia i telewizji. Jaką rolę w tym kontekście mają odegrać cytowane przez Andersa dane o migracji wiejskiej czy też o dużym procencie ludności, która szkoły podstawowej nie ukończyła? Cyfry te świadczą chyba tylko o ostrej potrzebie upowszechnienia oświaty i kultury. Może więc Andersowi chodzi o program, o to, co z masowej produkcji rozrywki kulturalnej trafia do spóźnionych w rozwoju. Niestety, istotny i ostry w naszych warunkach problem zawisa w powietrzu, skwitowany słusznymi, dziś już powszechnie uznanymi tezami o potrzebie wyboru, o polityce kulturalnej. Gdybyż to Anders przynajmniej usiłował wskazać kierunek tej selekcji. Moim zdaniem, probierzem winny tu być szeroko pojęte treści humanistyczne, pomagające budować społeczeństwo socjalistyczne. Nie stawiałbym tej kropki nad i, gdyby nie postawa Andersa ,który w końcu artykułu zwolenników sztuki abstrakcyjnej i poezji awangardowej tymi słowy uciszа: „Nawet złotousty prelegent nic nie wskóra na moim podwórku, zachwalając sztukę abstrakcyjną lub awangardową poezję". Słusznie. Ale może o polityce kulturalnej nie z tej beczki i nie z tych pozycji, bo przecież nie nos dla tabakiery.

Mówiłem na wstępie o inspiracji autora artykułu „Koło się kręci". Niestety, jest to inspiracja w sensie negatywnym. Zarówno Anders, jak i jego poprzednicy, podejmujący wielką sprawę, niezmiernie istotną dla naszego miasta, i dla całego kraju, po to, aby wypowiedzieć kilka uogólnień, a przy okazji załatwić drobną, wycinkową sprawę ,np. odczytów literackich. A szkoda. Sprawa polityki kulturalnej, wyboru treści interesuje nie tylko działaczy kultury i instytucji kulturalnych. Dla naszych środowisk twórczych jest to również nabolały, często dyskutowany problem. Masowa produkcja rozrywki kulturalnej niesie ze sobą niebezpieczeństwo uniformizmu lub— jak kto woli — surogatu kultury. Piszą o tym w swoich artykułach Jerzy Adamski („Socjalizm i kultura masowa", Nowe Drogi 5 (144, maj 1961) i Marcin Czerwiński w artykule zatytułowanym „Antropologia negatywna" (Przegląd Kultralny nr 19 (459 z 11. V. 1961). Niebezpieczeństwo płycizn, problem inspiracji twórczej i budzenia zainteresowań — oto zagadnienia, z którymi boryka się wielu działaczy kulturalnych. W każdym wypadku unikałbym recept, pamiętając o tym, że praca kulturalno—oświatowa budzi oddźwiek tylko wtedy, jeśli potrafimy podpatrzeć i rozdmuchać owe tkwiące w różnych środowiskach iskierki zainteresowań. A przecież środowiska nie są monolitami, istnieją w nich grupy i nawarstwienia o różnych tradycjach kulturalnych i zainteresowaniach. W niektórych kręgach robotniczych Łodzi żywe były do niedawna tradycje pieśni zespołowej. Jak szeroko można by na tym tle rozwinąć umuzykalnienie. Jak szeroko można by wykorzystać drzemiące wśród najszerszych mas zainteresowania techniką, pobudzając je i rozszerzając w szeregu przystępnych, popularno—naukowych odczytów. To właśnie wykorzystanie nurtujących tu i ówdzie zainteresowań — zbliża tematykę kulturalno-oświatową do odbiorcy, budzi nowe, szersze zainteresowania. Ale to już sprawa dokładnej znajomości terenu, dokładnego rozeznania potrzeb, no i odpowiedniego poziomu kadr kulturalno-oświatowych. Pochopne uogólnienia, recepty nawet na „nie" nic tu sprawie nie pomogą. Wracam jednak do felietonu Andersa. Autor stwierdza, że znaczna część mieszkańców miasta nie posiada podstawowego wykształcenia, że wielu ludzi wolny czas spędza najchętniej przy kioskach z piwem. Ciąży to istotnie nad problematyką upowszechniania kultury w naszym mieście, choć w innym sensie, niż to sugeruje autor. Jak nas uczy doświadczenie, potencjalny odbiorca rozrywki, której dostarczają teatr, kino, telewizja i radio, znajduje się wszędzie, nawet w najbardziej zacofanych środowiskach. Bieda leży w tym, że rozległe peryferie łódzkie, tereny, na których najliczniej występuje infiltracja elementu wiejskiego, Bałuty, Chojny, Widzew, Złotno, Cyganka, są niemal zupełnie pozbawione bazy dla masowej rozrywki kulturalnej i akcji popularno-oświatowej. Kina, świetlice, domy kultury, kluby, biblioteki — wszystko to skupia się w śródmieściu, a potencjalny odbiorca, nie mając rozbudzonych potrzeb, niechętnie pokonuje rozległe przestrzenie w poszukiwaniu tego typu rozrywek.

Tak więc problem wyboru treści koresponduje w Łodzi z niezmiernie ostrą potrzebą nasycenia dzielnic peryferyjnych instytucjami i urządzeniami umożliwiającymi konsumpcję produktów kultury.

Niezwykle aktualna w naszych czasach i na naszym terenie problematyka upowszechnienia kultury odznacza się ogromnym bogactwem i różnorodnością. Dyskusja w tej sprawie zaledwie się w naszej prasie lokalnej zaczęła. Jeśli jednak w tej dyskusji będziemy się zacieśniać do wąsko pojętego interesu środowisk twórczych, jeżeli nie obejmiemy spojrzeniem szerszego kręgu zjawisk i potrzeb, przede wszystkim odbiorców, „cykliści" — jak Anders był łaskaw określić dyskutantów — daleko nie zajadą. Boję się, że koła zaczną się kręcić w miejscu.

REPORTAŻ Z KOLOROWEJ SZKOŁY

Tekst: HENRYK CZARNECKI
Zdjęcia: EUGENIUSZ KUDAJ

(Dokończenie ze str. 1).

od pani dyrektor, że to jedna z najbardziej uzdolnionych uczennic.

— Marzenia na temat przyszłości?

— Wyższa Szkoła... Aktorska.

— Tak, tak. To nie żart. — podpowiada pani dyrektor. — Jest ona świetną piosenkarką, a mogłoby być doskonałym działaczem politycznym i społecznym.

— I uroczą żoną. — mówię do ucha pani dyrektor, tak, by Bronia tego nie słyszała.

— A tak.

Jutro dalsza część matury: Malarstwo. A w sobotę będą się „zuzannić" czyli... egzamin z kompozycji i liternictwa u pani profesor Zuzanny Jackowskiej.

Jutro... Dziś... Na te pełne barw i kształtów sobotnie kompozycje składa się nie tylko czas pięciu maturalnych godzin. To wkład wielu wczorajszych dni.

A oto klasa trzecia. Lekcja kompozycji z tworzyw sztucznych. Dowcip polega na zmianie form tworzywa. Nad palnikiem. Na kuchennej blasze. Tworzywo — to takie strzępy barwnych szmat, strzępy gazet z kolorowymi nadrukami, kawałki zużytych spirali od elektrycznych kuchenek, barwne nitki, druty, sprężyny, zardzewiała blacha dziesiątki innych rupieci. Tak. To właśnie materiał, z którego... nie mogę uwierzyć. To przecież nieprawdopodobne. Ile w tym świeżości, oryginalności. Gdyby te małe arcydziełka mogły wyprzeć ponure jarmarczne kicze.

Nowa klasa i nowe zaskoczenie. Nowa technika dzieła. Tak, dzieła. Autor rozkochany w Chełmońskim, Van Goghu, Gierymskim, Rembrandcie ne boi się nazwać dziełem martwej natury z kwiatami — pracy Halinki D. Urzeka ta niespotykana dotąd technika naklejania przędzy.

— A pani profesor co o tym sądzi? — pytam profesor Dębowską.

— Że to zupełnie dojrzałe Urzeka i praca Elżbiety G. i... wszystkie niemal prace. Och, Halinko, Elżbietko... Byłbym szczęśliwy, gdyby te dwie Wasze prace ozdobiły mój pokój. Dopiero bym się nimi chwalił.

W przyjacielskiej pogawędce przy kawie pedagodzy dzielą się ze mną swymi osiągnięciami i planami. Rozumiemy się. To jest właśnie to, do czego wszyscy dążymy. Wprowadzić uczniów na niezmierzone ścieżki. Pokazać nieskończoność tworzenia, artystycznej przestrzeni, perspektyw. Wyłamać z zamkniętych ścian tradycjonalizmu. Przypomina się romantyczne zerwanie z przepisami Boileau.

A jednak nadal nie zamiera pytanie: „Co dalej?".

Jest to bowiem w zasadzie liceum ogólnokształcące z artystycznym tylko nachyleniem. Nauka nie stanowi tu zamkniętego cyklu. Przygotowuje kadry dla wyższych szkół artystycznych. Co mają robić ci, którzy z takich czy innych względów muszą na tej maturze zakończyć swoją edukację. Pytanie to, to zmarszczka na uśmiechu szkoły. Studio Filmów Rysunkowych nasycone jest dawnymi absolwentami. *Czy Łódź — miasto przemysłu i polskiej mody — potrafi wchłonąć nowe talenty?*

Czy Łódź wie o tym, że szkoła, choć nie daje zawodowego dyplomu — daje jednak umiejętność operowania formą czysią, która jest przecież wyjściem do podjęcia praktycznej działalności we wszystkich gałęziach sztuki użytkowej?

— Co jeszcze daje szkoła, tym, którzy nie pójdą na wyższe uczelnie. — pytam pani dyrektor.

— Uważam, że nasi absolwenci winni zapełnić studia nauczycielskie na wydziałach artystycznych. To najlepszy przecież materiał na przyszłych nauczycieli przedmiotów plastycznych. Uważam również, że powinny zainteresować się nimi, wydziały handlu dla wykorzystania ich przy dekoracjach wnętrz, czy wydziały kultury — na instruktorów dla zespołów plastycznych i dekoracji świetlic. Organizujemy dla naszych uczniów kółka zainteresowań, które przygotowują już do tej ewentualnej pracy.

Dowiedziałem się jeszcze o innych osiągnięciach szkoły, która w swej artystycznej skromności nie potrafi się nimi pochwalić. A więc:

1. wystawa pt. „Rok 1905 w oczach młodzieży",
2. wystawa pt. „Łódź dawniej a dziś",
3. wystawa plastyki i rzeźby na temat Konga,
4. zdobycie pierwszej nagrody przez Jerzego Matwieja — ucznia tej szkoły — na Ogólnopolskim Konkursie Olimpijskim dla uczniów szkół plastycznych,
5. zdobycie czternastu pierwszych nagród w konkursie malarstwa i rzeźby, organizowanym przez kuratorium i Zarząd Wojewódzki TPP-R,
6. wystawienie sztuki pełnospektaklowej, z której dochód przeznaczono na fundusz stypendialny im. Lumumby (4.000.— zł), na fundusz szkół tysiąclecia (3.600 zł), na kolonie letnie oraz na pomoce szkolne dla niezamożnych uczniów. Sztuka wystawiona była aż trzynaście razy.

Nie będę wyliczał innych już osiągnięć. Wystarczy i tych, by stwierdzić ogromną użyteczność społeczną tego liceum.

Sympatykiem tej miłej szkoły i swego rodzaju mecenasem jest „nasza wspólna znajoma" — towarzyszka Tatarkówna. Odwiedza wystawy, interesuje się bardzo konkretnie niezamożnymi uczniami, „organizuje" im skądś stypendia. Zostawiła w tej uczelni kawałek swojego serca.

No, cóż. Sztuka posiada przecież ową magiczną siłę przyciągania.

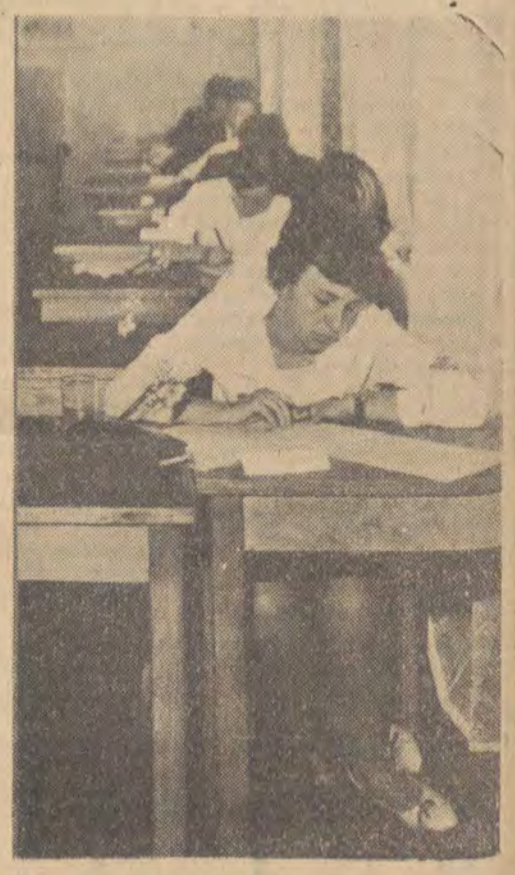

STANISŁAW KASZYŃSKI

Szlaki dziwne i wspaniałe

Wydawnictwo Łódzkie obdarzyło nas ostatnio prawdziwie uroczym pamiętnikiem *O mnie i nie o mnie*, seniora łódzkich pisarzy, Kazimierza Błeszyńskiego. Wiesław Jażdżyński opatrzył książkę zgrabnym komentarzem, cóż wobec tego pozostaje recenzentowi? Rola komiwojażera czy polemisty, uzupełniacza czy czytelnika? Najchętniej przyjmują rolę czytelnika i chcę tu tylko odpisywać własne notatki z marginesów. I smakować każdą facecję, i nie mędrkować, i nie poprawiać.

Jesteśmy w dziwnej sytuacji, kiedy wertujemy pamiętniki naszych dziadów i ojców. Do dawnych, spisanych w minionych wiekach, odczuwamy albo z góry niejako należny szacunek albo zwykłą ciekawość, natomiast do współczesnych zaglądamy najczęściej z sentymentem, nie pozbawionym zresztą odrobiny podejrzliwości. Jeszcze do niedawna ta podejrzliwość była drapieżna i autorytatywna, lubiliśmy ujadać i kąsać z niezbitego przekonania, że wszystkie racje zdołaliśmy wydrzeć historii, która nagrodziła nas nieomylnym zmysłem poznania. To bardzo dobrze, że Kazimierz Błeszyński opowiada nam dopiero dzisiaj o sobie i innnych, kiedy staliśmy się nieco mądrzejsi.

Każdy rozumny pamiętnik jest dyskretną transpozycją doznań i przemyśleń autora, jest jego osobistą i przez to autentyczną prawdą której nie można czy po prostu nie warto podważać. Błeszyński przeżył wiele bogatych lat, dlatego jak najbardziej ufam jego doświadczeniom i staram się zrozumieć jego odważne sądy nad spotykanymi w długim życiu ludźmi oraz ocenę wielkich

Kazimierz Błeszyński

spraw przeszłości i teraźniejszości. Moja wiara w rzetelność pamiętnikarskich relacji Błeszyńskiego nie opiera się jedynie na sędziwym wieku pisarza. Kiedy zasiądziecie do tej książki, to szybko stwierdzicie nie tylko skrupulatność zapisu pisarza, ale przede wszystkim wzruszające, bijące liryzmem, namiętne przywiązanie do prawdy. Do pełnego wyrazu dochodzi ono w zakończeniu, a szczególnie donośnie brzmi w sprawie Brzozowskiego gdy autor, wnosząc niezmiernie cenny dokument, nie waha się rzucić na szalę całej swej ludzkiej godności w obronie skrzywdzonego człowieka. W dawnych żywotorysach, odwijanych na kartach starych pamiętników, zawsze uderza mnie pewna cecha charakteru, którą chciałbym nazwać „gestem odwagi cywilnej" czy potrzebą akcentowania w decydujących momentach czyjejś postawy moralnej. Otóż Błeszyński pokazuje takie indywidua, zręczną kreską szkicuje takie romantyczne sylwetki, barwne i fascynujące. Prowadzi nas jak pod hypnotyzą po szlakach dziwnych i wspaniałych, każe nam przeżywać awantury swoich zawadiackich antenatów i obywateli, ciągnie wszędzie za sobą: na poddasze malarzy i do więzień rewolucjonistów, do salonów liberałów i do redakcji, i do biur, gdzie bywał, podpatrywał, gdzie słuchał.

Bo też z kim się nie znał?! Spotykał się z pierwszymi piórami Rzeczypospolitej, „tykał się" ze znakomitościami pędzla i polityki, obserwował kariery swoich kolegów. Ba, miał przyjemność zetknąć się z arcyhultajami i bałagułami, choćby z takim oryginałem, jak Jan Włodzimierz Starża Dzierzbicki, który do wojny buszował w Łaskiem (warto by kogoś pchnąć tam by, zasięgnął języka o tym facecie) Ze szczególnym pietyzmem skreślił portret swego przyjaciela, Franciszka Fiszera-Wspaniałego, a nawet pokusił się po raz pierwszy o wyłożenie jego założeń filozoficznych. Zresztą, co tu opowiadać? Trzeba to wszystko przeczytać?

Błeszyński nie przynależy do klanu pamiętnikarzy z nadwyobraźnią. Jest zawsze taktowny i skromny, nie umie nawet drwić i kopać potrafi się tylko na żywo oburzać, jak np. z powodu sadyzmu Przybyszewskiego. Kiedy z lamusa pamięci po wyciągał gromadę nie lada tuzów-znajomków, czuje się jakoś onieśmielony takimi koneksjami i zaraz wyjaśnia: „Ludzie na ogół wówczas jakoś do mnie lgnęli i ja do ludzi. Ale też była to moja młodość — żywa niepowracalna młodość". Ten ton, jakże zrozumiały i zharmonizowany z treścią i atmosferą tej gawędy odciska się w stylu małej książki. Po pamiętniki sięgamy także i po to, aby przypomnieć sobie świeżą urodę naszej mowy. Miłośnikom pięknej polszczyzny Błeszyński nie sprawi zawodu. Jego proza nie jest tak gęsta, jędrna i zawiesista jak Wańkowicza czy Mackiewicza okrzepła na kresowych sokach. Więcej w niej równowagi i spokoju szlifu i dyskursu. Wpływ to zapewne rozległych studiów filozoficznych. Ale tętni w tej prozie bujna natura przodków autora, mieni się soczystą barwą, tęgim dowcipem czy powiedzonkiem, poetycką wstawką, melancholijnym nawiasem. Który z współczesnych literatów używa z takim wdziękiem pysznych form plusquamperfectum i futurum exactum? Rzeczywiście żeby przywołać z Elizjum tamtych ludzi albo, tak jak autor, przebywać wciąż z nimi, nie można pisać inaczej.

Jest coś osobliwie radosnego w fakcie, iż Kazimierz Błeszyński żyje i swą twórczością i życiem rozszerza swe wspominki.

PS. Myślę, że znajdzie się jakiś polonista i co rychlej pieczołowicie zestawi bogaty dorobek K. Błeszyńskiego.

„Niespokojni" — audycja ambitna

Kwitujemy ODBIÓR

Telewizja znów hojną ręką rozdziela czas na audycje publicystyczne. Obok wszakże typowych chał, których jedyną silną stroną jest ich słuszność i oczywiście, że wspomnimy tu niektóre wywiady przed kamerami łódzkiej TV, trafiają się audycje dobre, mądre, odkrywcze, śmiałe, choć na pewno też za długie. Do takich zaliczamy ostatnią audycję Młodzieżowego Klubu Telewizyjnego przygotowaną przez Zbigniewa Chylińskiego i Andrzeja Mazura z Łodzi w programie ogólnopolskim w czwartek 18 maja.

Bohaterami audycji byli uczniowie 4 klasy Liceum Pedagogicznego przy ul. Perla w Łodzi. Dziesięcioosobowa grupa chłopców i dziewcząt którzy za rok będą nauczycielami. Dziś są uczniami. Są więc tym specyficznym gatunkiem młodzieży, która z pozycji uczniowskich może pochwalić np. ściąganie, podpowiadanie, może pogardzać kujonami, natomiast z pozycji przyszłych nauczycieli we własnym niejako perspektywicznym interesie musi mieć na te sprawy wyrobiony pogląd. Pytanie czy taki sam czy inny? Więc najpierw z pozycji uczniów. Mówią więc w dyskusji o ściąganiu, o jego stronach dobrych (pomoc w nagłych wypadkach zaćmienia pamięci, koleżeństwo, ratowanie przyjaciela w opresji) i o jego stronach złych (wyrabianie złych nawyków u ściągobiorcy, o lekceważeniu nauki i poważnej pracy, o dokonywanym wspólnie akcie oszustwa wobec nauczyciela i często siebie...). Do jakich wniosków dochodzą? Że ściąganie będzie istniało. Będzie istniało też podpowiadanie, tylko od dających ściągi i podpowiadających będzie zależała rola jaką ten czynnik odegra w klasie. Czy będzie dominująca, czy też w stadium zaniku jedynie na wypadek rzeczywistej awarii. Teza przyznajemy, śmiała w ustach młodych ludzi, którzy sami są uczniami i następnego dnia po audycji mogą się znaleźć na klasówce w izolatkach. Ale miejmy nadzieję, że pedagogowie przyszłych pedagogów docenią szczerość, której celem jest rozświetlenie pewnych szkolnych mroków. Więc pytanie drugie. Jaki powinien być dobry uczeń? Czy to ten, który wypełnia regulaminy, uczy się na same piątki, a nie znajduje czasu na prace społeczną np. w drużynie harcerskiej, w zespole zainteresowań, jest dobrym uczniem? Znów teza ryzykowna, bo powie ktoś: najpierw nauka potem zabawa w harcerstwo, czy w kółku fizycznym. Dobry uczeń powinien jednak — zdaniem młodych dyskutantów — posiadać wszystkie walory dobrego obywatela. Praca społeczna, element różniący naszą szkołę od szkół zachodnich, jest w tym wypadku czymś wychowawczo niesłychanie ważnym. Czy zatem można np. z piątki zjechać na czwórkę z powodu zajęć w drużynie? Zdaniem dyskutantów trzeba. Ale nie niżej. Z trójki na dwójkę nie wolno.

Były też inne pytania i problemy. Jaki powinien być nauczyciel? Czy ma być przyjacielem ucznia, czy też zachować dystans?

Audycja Młodzieżowego Klubu Telewizyjnego była pierwszym głosem młodzieży w dyskusji nad projektowaną reformą szkolnictwa, postulując jednocześnie znaczną reformę w dziedzinie poglądów na „tajemne" sprawy szkoły. Jedynym jej brakiem był nadmiar czasu jaki wyznaczono na tę dyskusję. Stąd też trochę za dużo słów w audycji, 45 minut, toż to połowa pełnometrażowego filmu fabularnego! Najdłuższa dyskusja w radio trwa 20 minut, przy czym radio dokonuje, poprzez montaż taśmy, syntezy materiału na co telewizja w danym wypadku (dyskusja toczyła się na żywo w studio) nie mogła sobie pozwolić, bo i jak?

W każdym razie autorom słowa pochwały za śmiałość i odkrywczość audycji. **X**

TELEwizja

Nauki Marino Mariniego

Świetny kwartet Marino Mariniego ominął dziwnym trafem Łódź. Był nawet w Sopocie, gdzie jeszcze nie ma sezonu, w Łodzi nie. Słodką tajemnicę tego pozostawmy naszej „Estradzie", która z pewnością nie omieszka przywieźć nam za to jakiś mierny zespolik zagraniczny. I gdyby nie telewizja Marino Mariniego ani byśmy widzieli ani słyszeli. A tak była uczta muzyczna jakich mało. W czym tkwi tajemnica powodzenia tego kwartetu instrumentalno-wokalnego, który potrafi sam wypełnić dwie godziny programu, dając rzeczy wyborne, a jedną lepszą od drugiej. W znakomitych muzykach? Na pewno. W świetnych piosenkach przeważnie włoskich, piosenkach nagradzanych na festiwalach w San Remo, w Rzymie, w Neapolu? Oczywiście! W tym, że wyglądają uroczo, że chętnie bisują bawiąc się razem z widownią, że nie dają się prosić jak nie przymierzając, niektóre polskie gwiazdy piosenki? Tak, w tym także. Że nie pozują, że ich piosenki są naturalne, proste, lekkie, pełne wdzięku, że porywają rytmem wartkim, i aż natarczywym (to zresztą cecha instrumentacji w tym zespole). Ale jest jeszcze jedna sprawa którą nasi estradowcy, a niestety często i radio i telewizja zwykły traktować jako rzecz drugorzędną. Oto mistrz Marini, inżynier elektryk z zawodu, ma na estradzie mały, niewidoczny stół mikserski, ma elektronową aparaturę do stwarzania pogłosu, ma tzw. pedał skrzypcowy. Gitarzysta ma w gitarze 12 maleńkich mikrofonów dających różne efekty akustyczne, każdy z wykonawców ma przed sobą mikrofon, do którego śpiewa, a Marini przy fortepianie jednocześnie grając i śpiewając również miksuje, wpuszcza, wycisza, daje echo... Ktoś powie: cyrk. A my powiemy: umiejętne, skuteczne dające znakomite rezultaty uzupełnienie estrady nowoczesnymi środkami wzbogacającymi efekt artystyczny.

Ostatecznie i tak w wielkiej hali słuchamy piosenkarzy przez głośniki, więc dlaczego tej transmisji nie przeprowadzić porządnie, dlaczego nie skorzystać z okazji i możliwości jakie daje mikrofon, specjalne wzmacniacze i głośniki? Kiedy u nas piosenkarz śpiewa przez mikrofon naraża się na podejrzenie, że nie umie śpiewać, że nie ma głosu i ratuje się mikrofonem. Tak niestety w większości wypadków jest. A wiemy o tym ponieważ mikrofon to pudełeczko nieubłagane. Kiedy jednak piosenkarz potrafi śpiewać, kiedy ktoś umiejętnie pokieruje urządzeniami technicznymi, kiedy wie czego chce i uda mu się osiągnąć zamierzony efekt dźwiękowy — to będziemy mieli coś w rodzaju Marino Mariniego. A zatem dość prymitywizmu, dość podstawiania mikrofonu byle-jakiego i byle jak. Marino Marini pokazał nie tylko technikom w telewizji, nie tylko radiowcom, ale wszystkim widzom, jak należy korzystać z nowoczesnej techniki radiowej. A więc korzystajmy! Ranga artystyczna tego zespołu gwarantuje, że nie jest to pójście na łatwiznę przeciwnie, dowodzi, że trzeba się uczyć, upłynął złoty wiek mikrofonowego lenistwa i dyletanctwa..

X

W telewizji paryskiej, doceniającej widać wartości baletu pokazano znakomite fragmenty spektaklu Baletu Paryskiego, w którym między innymi gwiazdami tańczy prześliczna Zizi Jeanmaire. Pośród wielu punktów programu znalazły się takie jak „Petruszka" i „Cyrano de Bergerac". Na zdjęciu tańczy Cyd Charisse.

Ze swej strony domagamy się spektakli baletowych, które w programie naszej telewizji winny się znaleźć jako stałe samodzielne, samoistne pozycje.

„Piosenki francuskie"

Nie tak dawno oglądaliśmy z Warszawy bardzo chyba dobrą audycję estradową pt. „Piosenki francuskie". No tak, ale zastanówmy się, kto ją robił? Robił ją **Aleksander Bardini**, jeden z najwybitniejszych reżyserów teatralnych, jakimi w ogóle dysponujemy, który — jak widać — nie waha się przyłożyć ręki do estradowego koncertu. I to nie po raz pierwszy — pamiętamy przecież „Piosenki radzieckie", pamiętamy „Piosenki Berangera".

Nie dość na tym, przyjrzyjmy się bowiem, kto wziął udział w audycji. Czy „zawodowi" piosenkarze z niekoniecznie największymi głosami, ale za to bezlitośnie usztywnieni, kiwający się na estradzie, bądź bezradnie podskakujący w takt muzyczki, jak to zwykł czynić pan Janusz Gniatkowski? Skądże znowu, taki „zawodowiec" estradowy był tylko jeden — myślę tu o **Lidii Korsakównie.** No, na upartego jeszcze **Alina Janowska,** choć jest raczej aktorką, niż piosenkarką.

Obok dwóch wspomnianych pań — **Elżbieta Kępińska - Kowalska,** aktorka dramatyczna z najprawdziwszego zdarzenia, która tak błyskawicznie zrobiła karierę na Wybrzeżu, aby przenieść się potem do stolicy. **Wiesław Gołas** pamiętny z „Konia" i „Kabaretu starszych panów", o którego skali aktorskiej wystarczy powiedzieć, że kilka dni wcześniej brał udział w songach Brechta. Podobnie **Józef Nowak** — i on występował w brechtowskiej audycji, wystarczająco zresztą często staje przed kamerą, aby czuć się przed nią najzupełniej swobodnie.

Jeszcze **Wiesław Michnikowski,** słynny odtwórca „Pomidorów", facet o takiej vis comica, że właściwie może nie śpiewać, a i tak będziemy zanosili się śmiechem. I jeszcze jedno nazwisko — **Ignacy Gogolewski,** którego pamiętamy... no tak, którego pamiętamy z roli Gustawa-Konrada z „Dziadów". Tu był, powiedzmy, jakoś nie na swoim miejscu, ale te kilka przykładów i nazwisk świadczy chyba o staranności, z jaką ośrodek warszawski przygotowuje swoje audycje.

Kiedy reżyser jest z prawdziwego zdarzenia, a wykonawcy na wysokim poziomie, to przy dobrych tekstach — a piosenka francuska cieszy się w świecie zasłużoną sławą — musi urodzić się z tego dobra audycja, choćby się nawet mury waliły...

My w Łodzi, powiedzmy to uczciwie, mamy po prawdzie mniejszy wybór, ale i szukamy mniej starannie. Powtórzę to, co pisałem przed tygodniem — w samej szkole aktorskiej znajdzie się z pół tuzina wybornych, nieopatrzonych i pełnych — co ważne — dobrej woli wykonawców, przydatnych zarówno w audycjach serio, jak estradowych. Może i mógłbym podrzucić parę nazwisk, ale potem mi powiedzą, że proteguję znajomych. Więc lepiej nie — może by tylko ktoś z TV wybrał się na „Karykatury", spektakl jest akurat słaby, ale parę nazwisk warto by sobie zapisać...

P. J.

„Paragraf i fajka"

O tej audycji już kiedyś pisaliśmy, ale nigdy za mało nie można jej się nachwalić. Starszy, miły, opanowany pan z nieodłączną fajką w ręku jest nie tylko — co nie dziwota — człowiekiem wielkiej wiedzy, ale i niezrównanym gawędziarzem, który w prosty, bezpośredni sposób potrafi wprowadzać nas w zawiłe gąszcze prawa.

To nie bagatela takie audycje, jako że wiedza prawnicza zawsze stała i nadal stoi w Polsce dość nisko, a sądy roją się od spraw niepotrzebnych, błahych, beznadziejnych nawet, bo wniesionych przez zwykłą przekorę bądź głupotę. Ciekawostki ciekawostkami, ale zdaje się, że felietony prof. Sawickiego mają do spełniania niesłychanie ważne zadanie społeczne, choć — trzeba przyznać — autor podejmuje je stosunkowo rzadziej. I tu nie tyle postulat, ile prośba do profesora: obok wyławianych przez niego perełek i subtelności, mógłby on chyba podjąć i szerzej omówić na przykład sprawy pyskówek — kto wie, czy to by choć trochę nie poskutkowało.

Kłopoty z play-back'em

Z okazji Dni Oświaty zagnało mnie w Skierniewickie, a tam mówiąc o tym i owym, zagadałem się wreszcie o telewizji. Wspomniałem o playbacku i tu podniósł się wielki krzyk.

— Niech już ta jedna czy druga piosenka będzie brzydziej zaśpiewana, ale niech wykonawcy ruszają ustami zgodnie ze słowami i melodią. Play-back przeszkadza, irytuje, odbiera złudzenie. Lepiej już iść do kina, albo włączyć radio.

— O — pomyślałem — to aż tak? To aż taka jest potrzeba autentyzmu, jednoczesności nadania i odbioru audycji? Mnie osobiście nawet daleka od ideału synchronizacja głosu i artykulacji — a z reguły synchronizacja ta jest mocno nieświetna — nie przeszkadza; bardziej już złości mnie fakt zniekształcenia przez głośnik telewizyjny barwy głosu. A tu tymczasem ludzkiska oburzają się i to na całego, najchętniej — jak się wydaje — zamieniliby playback na audycje robione „na żywo". Więc chyba coś w tym jest, chyba — z samej zasady nie rezygnując — trzeba nauczyć piosenkarzy synchronizowania się z własnymi nagraniami. A to jest kwestia czasu, kwestia prób, kwestia reżysera. Gdzie zaś próby i reżyser nie pomagają — a znamy aktorów, niekiedy wybitnych, którzy z play-backiem za nic sobie nie potrafią poradzić — trzeba chyba uznać głos widza i pozwolić aktorowi śpiewać „na żywo", w trakcie wizji.

Takie przynajmniej wnioski wyciągnąłem z mojego małego wyjazdu.

PROGRAM na najbliższe dni

25. V. 61 — CZWARTEK

11.00 Program dla szkół: Historia „W walce o sprawiedliwość społeczną" — dla klas VII (W)
11.30 PRZERWA
17.25 Program dnia (Ł) lok.
17.30 Balet dziecięcy pt. „Jedzie, jedzie wóz cyrkowy" (Warszawa)
18.20 PKF (W)
18.30 „Żarty i zagadki muzyczne" (W)
19.00 „Mój koń" — film cykliczny (młodzieżowy) (W)
19.30 Dziennik telewizyjny (W)
20.00 Program z cyklu „Fakty i poglądy" (W)
20.30 Film fab. prod. francuskiej „W szponach szantażu" (W)
22.00 Ostatnie wiadomości (W)

26. V. 61 — PIĄTEK

17.40 Program dnia (Ł) lok.
17.45 Wszechnica TV „Dźwięki słyszalne i niesłyszalne" program z cyklu „Wszechświat w którym żyjemy" (P)
18.15 Wszystkie dni tygodnia (Ł) lok.
18.45 Program na Dzień Matki pt. „Moja Mama" z udziałem „Misia z okienka" (W)
19.30 Dziennik telewizyjny (W)
20.00 Program „Trust mózgów odpowiada" (W)
20.25 Film fab. prod. czeskiej „Tu są lwy" (W)
22.20 Ostatnie wiadomości (W)

27. V. 61 — SOBOTA

11.00 Program dla szkół: Zoologia „Z puszczy na podwórka" dla klas VI (W)
11.30 PRZERWA
18.10 Program dnia (Ł) lok.
18.15 Program dla dzieci i młodzieży: „Przyjaźń" Marii Dąbrowskiej (W)
19.00 Program tygodnia (W)
19.15 Program tygodnia (Ł) lok.
19.30 Dziennik telewizyjny (W)
20.00 „Pegaz" magazyn kulturalny (W)
22.10 „Milczenie jest złotem" film fab. prod. francuskiej (W)
22.10 Ostatnie wiadomości (W)
22.15 „Serenady i romance" widowisko muzyczne (W)

28. V. 61 — NIEDZIELA

11.00 Sprawozdanie z międzynarodowych zawodów motorowodnych o puchar Rafała Pragi. Transmisja znad Wisły w W-wie (W)
12.30 PRZERWA
13.05 Film z serii Disneyland (W)
13.55 Niedzielna Biesiada (P)
14.55 Film krótkometrażowy (W)
15.45 „On i Ona" telefarsa muzyczna (W)
16.15 Program dla dzieci (Ł) lok.
16.45 Zawody motocyklowe o mistrzostwo świata. Transmisja z Liberac CSRS (K)
18.20 Film fab. prod. polskiej „Kolorowe pończochy" (W)
19.25 Film krótkometr. prod węgierskiej „Wiosna" (W)
19.45 Dziennik telewizyjny (W)
20.30 Łódzki przegląd sportowy (Ł) lok. i film krótkometrażowy
21.00 „Praska Wiosna". Koncert symfoniczny z Pragi przez Katowice

Redaguje Zespół ◇ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ◇ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 86 Tel. 244 79 ◇ Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— ◇ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ◇ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Zwirki 17 ◇ Zam. 1494 V L-4

MIŁOŚĆ MIŁOŚĆ

L'AMOUR
ЛЮБОВЬ
AMORE
die Liebe
the love

Ponieważ nikt z naszych znajomych nic konkretnego na temat miłości nie wiedział (poza tym, że podobno istnieje) zmuszeni byliśmy sięgnąć do Wielkiej Encyklopedii Okultystycznej tom III wyd. 5 Arkon-Ohio 1897 r. Pod hasłem miłość czytamy: „Miłość jest to stan pośpiechu i niepamięci występujący wówczas, gdy z trojga osób płci różnej dwoje nie wie co ze sobą zrobić".

Zasadniczo miłość można by podzielić na: wieczną, od pierwszego wejrzenia, wielką i platoniczną.

O wiecznej powiedział już za nas Tadeusz Dołęga-Mostowicz: „Znam trzy wieczne rzeczy — wieczne pióro, wieczną ondulację i wieczną miłość, z których najtrwalszą jest wieczne pióro".

Co do miłości od pierwszego wejrzenia to słyszeliśmy o niezmiernie rzadkich, co prawda wypadkach, że przetrwała ona i do wejrzenia drugiego.

Miłość wielka jest marzeniem pensjonarek, więc w sferze marzeń ją pozostawmy.

Miłość platoniczna jest przypadkiem najciekawszym. Uprawiana bywa korespondencyjnie.

Nasz osobisty podział to: miłość przedmałżeńska, małżeńska i pozamałżeńska. Jak to w rzeczywistości wygląda ilustrujemy poniżej.

L'AMOUR
ЛЮБОВЬ
AMORE
die Liebe
the love

MIŁOŚĆ przedmałżeńska

§ Art. 202.

KTO DOPUSZCZA SIĘ CZYNU NIERZĄDNEGO WZGLĘDEM OSOBY PONIŻEJ LAT 15-stu ALBO OSOBY ZUPEŁNIE LUB CZĘŚCIOWO NIEPEŁNOLETNIEJ PODLEGA KARZE WIĘZIENIA DO LAT DZIESIĘCIU.

Ze sztambucha pensjonarki

Na górze róże na dole fijołki
Kochajmy się oboje jak dwa aniołki

*

Pająk uwił pajęczynę
Nad mym łóżkiem, w którym ginę

*

Czy pamiętasz Ty mnie, ach!
Bom Cię kochał, że aż strach.

*

Płyną lata i miesiące
niby morskie fale
Lecz Ty o mnie ja o Tobie
pamiętajmy stale.

*

Wpisuje się na pamiątkę
ale wyznam szczerze
że jest w sercu miłość
a nie na papierze

*

Gdy zżółkną białe albumu karty
Z mego wspomnienia zetrze się ślad
O! Wspomnij mile spędzone chwile
Gdy nas rozłączy szeroki świat.

*

Gdy opuścisz szkolne mury
i w daleki pójdziesz świat
wspomnisz o mnie ja o Tobie
o koledze z szkolnych lat.

*

RADY WUJA CZESIA
O wychowanie seksualne w szkołach!

Nie pierwszy i nie ostatni raz muszę zabrać głos na temat wychowania seksualnego w szkole. Niestety, znów dotarły do mnie wiadomości o masowym mordowaniu bocianów przez młodzież, pragnącą uniknąć konsekwencji swej lekkomyślności. A mały Józio w oczekiwaniu na przyrzeczonego braciszka oskarżył mamę o ludożerstwo w związku z jedzeniem przez nią znacznych ilości kapusty? Stracił zaufanie do przyrody. Takich przykładów jest wiele. Sprawy nie załatwia broszury „Co każdy chłopiec (dziewczyna) chce wiedzieć". No bo i skąd oni mają wiedzieć co chcą wiedzieć. Nie, tylko dobra szkoła ustrzeże ich przed bolesnym kontaktem z rzeczywistością. Koedukacyjność naszych szkół nie stanowi tu przeszkody — wręcz przeciwnie. Nie zapominajmy o małżeństwach na próbę. Dobrze by było dla tego celu przeznaczyć kilka bloków mieszkalnych w nowej dzielnicy. Pomóżmy dziatwie, stwórzmy im warunki jakich sami niestety nie mieliśmy.

Moja pierwsza miłość

Była piękna i smutna. Od początku skazana na tragiczny finał. Mimo to pełna uroku i swoistego szczęścia. Obiekt mojej miłości był znacznie starszy ode mnie. To nie przeszkadzało nam wcale. Miłość nie uznaje przecież różnicy wieku i posiadania. Znosiłem jej kwiaty i prezenty na jakie tylko było stać 12—letniego młokosa. Odwdzięczała mi się z równą siłą i wspaniałością. Była to bowiem miłość wzajemna. Koledzy nie podzielali tego zdania. Uważali, że to kompleks i natychmiast chcieli mnie leczyć. Siła mej miłości była jednak zbyt wielka by zabić ją mógł pierwszy lepszy lekarzyna. Był jednak ktoś silniejszy. Idylla nasza została niespodziewanie przerwana. Niestety, było pewne, że na zawsze. Kiedy składałem kwiaty na jej grobie ktoś powiedział głośno: — biedny wnuczek, ona tak go kochała. To była prawda. Babcia moja była naprawdę wspaniała kobieta.

MIŁOŚĆ małżeńska

Art. 198.

§ KTO W ZWIĄZKU Z ZAWARCIEM MAŁŻEŃSTWA WŁASNEGO LUB CUDZEGO DOPUSZCZA SIĘ CZYNU POWODUJĄCEGO NIEWAŻNOŚĆ TEGO MAŁŻEŃSTWA, JEŻELI UNIEWAŻNIENIE NIE NASTĄPIŁO PODLEGA KARZE WIĘZIENIA DO LAT TRZECH.

PORADY PRAKTYCZNE
Wstęp

Na porady jest właściwie za późno, kiedy tak zwana klamka zapadła i delikwent został absolutnie załatwiony. Ale cóż robić gdy pożałowania godni faceci lecą do Urzędu Stanu Cywilnego jak ćmy do światła. Żadna wówczas porada na nic się nie zda.

Na wstępie gwoli zachowania naukowego charakteru porad zacytujemy fragment z encyklopedii humoru Ludwika Górskiego.

MAŁŻEŃSTWO. — dwuosobowa wspólnota składająca się z jednego władcy, jednej władczyni i dwu niewolników. Obecnie małżeństwo przypomina pewną formę ślubu praktykowaną u Rzymian i polegającą na składaniu ofiary z wołu w obecności 10 świadków. Dziś przy ofiarowaniu mężczyzny wystarczają dwaj świadkowie".

Porada I. Nie kupuj żonie na litość boską żadnych kwiatów — zacznie cię podejrzewać, żeś coś przeskrobał.

Porada II. Gdy wypadnie ci czasem wrócić do domu po dwunastej wypij przedtem koniecznie kieliszek wódki. Inaczej żona zadręczy cię pytaniami gdzie byłeś.

Porada III. Kiedy żona pragnie cię przekonać o swojej racji wychodź co prędzej z domu. Szybkie zgodzenie się z racjami połowicy na nic się nie zda bowiem żona postara się jeszcze swój pogląd w tobie ugruntować.

Porada IV. Na pytania w rodzaju „czy ty mnie jeszcze kochasz?" zadawane kilkanaście razy na dobę nie reaguj wyciem i pianą na ustach. Bądź spokojny. Zrozum, że cierpienie uszlachetnia.

Porada V. W żadnym wypadku nie żeń się ponownie.

POŚLUBIONY
Wstrząsająca relacja z ostatnich chwil kawalera

To nie był dobry dzień. Nawet pogoda nie była najlepsza. Siedziałem w kącie i myślałem. Dużo myślałem. Miałem jeszcze sześć godzin czasu do ostatecznego „tak". A na drodze wiodącej do pobliskiego kościółka tworzyły się już pierwsze szpalery. Ubieranie panny młodej trwało już cztery godziny. Ze mną uporano się szybko. Nie boję się. Możemy wychodzić. Tłumy wiwatują. Idziemy wzdłuż szpaleru. Orkiestra (skrzypce, trąbka bębenek) gra marsza. Czuję, że sympatia tłumu jest po mojej stronie. Z wiwatów wyławiam pojedyńcze okrzyki: „trzymaj się!" „nie daj się!" „wytrwaj!" W miarę zbliżania się do kresu napięcie rośnie, czuję jak coś ściska mnie za gardło — wzruszenie czy przeczucie? Wiwaty. Zainteresowanie się moją osobą rośnie. Ktoś pyta: co to za facet idzie z panną młodą? Podpowiadają przytomnie: — jej mąż. Mądra i rzeczowa odpowiedź. Jesteśmy na miejscu. Do ołtarza dochodzę spokojnie. nikt mnie nie zaczepia. Na chórze łkają skrzypce. Wypowiadam moje zdanie, wszyscy przyjmują je z wyraźnym zadowoleniem. Panna młoda również. Obrączkują nas. Ktoś głośno wyraża współczucie (dotychczas nie wiem dla kogo). Koniec uroczystości. Jedziemy do fotografa gdzie z powodzeniem udaje tło. (Biel na czerni wychodzi ponoć lepiej, niż czerń na bieli — możliwe, nie oponuję, zresztą po co). Wracamy na ucztę weselną... Tu rękopis urywa się. Niżej znajduje się dopisek wykonany obcą ręką:

„Załamała go powaga
i doniosłość chwili
w trakcie spełniania 24
kolejnego bruderszaftu
Wielka jest siła
wzruszenia".

MIŁOŚĆ pozamałżeńska

§ Art. 213.

KTO DOPUSZCZA SIĘ CZYNU NIERZĄDNEGO PUBLICZNIE LUB W OBECNOŚCI NIELETNIEGO PONIŻEJ 15-stu LAT PODLEGA KARZE ARESZTU DO JEDNEGO ROKU.

UDZIAŁ BIORĄ:
PZEDSTAWICIEL REDAKCJI (PR)
SEKSUOLOG — TEORETYK (ST)
PRAWNIK AMATOR (PA)

(PR) — Wydaje mi się, że nie od rzeczy będzie zastanowić się nad sprawą miłości pozamałżeńskiej w świetle etyki.
(ST) — Etyka etyką a przyjemność przyjemnością. Musimy to rozróżnić.
(PA) — Skoro mowa o etyce, to przypominam, że nie oddał mi pan 120 zł.
(PR) — Uważam, że kwestia pieniężna jest związana nie tyle z etyką, ile z przyjemnością.
(ST) — Pieniądz w miłości pozamałżeńskiej nie posiada decydującego znaczenia. Jak wiadomo składa się ona przecież nie tylko z prostytucji ale i z życia towarzyskiego.
(PA) — To byłoby zgodne z definicją człowieka jako istoty społecznej. Dodałbym nawet, że stosunki towarzyskie wymagają niekiedy wykroczeń przeciw etyce.
(ST) — Więc jednak etyka ogranicza sumienność stosunków towarzyskich.
(PR) — Te ostatnie mają przecież dodatni wpływ na zdrowie psychiczne.
(PA) — Tak. Zwłaszcza przez choroby weneryczne.
(ST) — Proszę bez aluzji.
(PR) — Co powoduje, że mimo wszystkich trudności krzywa życia pozamałżeńskiego rośnie.
(PA) — Trudności komunikacyjne.
(PR) — Dojazd czy powrót?
(ST) — Ma pan na myśli powrót do natury?
(PR) — Nie, do domu.
(PA) — To sprowadza się do jednego. Powrót do natury kojarzy się z prabytem, którego podstawową jednostką jest ogień lub inaczej mówiąc ognisko domowe.
(ST) — Skoro już mowa o prabycie, to dlaczego nie poruszyliśmy dotąd problemu Moruli?
(PR) — Właśnie! Nad czym my właściwie dyskutujemy?
(Wskutek niemożności przypomnienia sobie dyskusję trzeba było odłożyć)

Przeciąć wrzód na ciele cywilizacji

Burmistrz pewnego angielskiego miasteczka, a może ktoś inny powiedział m. in.: „Prostytucja jest dla małżeństwa tym, czym kloaka dla miasta". Nie wiemy, w jakich okolicznościach to powiedział, nie wiemy czy w ogóle istniał (vide casus byłego św. Jerzego). Pamiętajmy i o tym, że kloaki nawet w Łodzi przegrywają na rzecz doskonałych urządzeń kanalizacyjnych. Z tych to powodów przytoczona maksyma coraz wyraźniej traci sens i nawet autorytet świętego nie jest w stanie przeszkodzić likwidacji wyżej wymienionego wrzodu. Jedyną trudność stanowi nieskuteczność dotychczasowych metod walki z prostytucją. W związku z tym proponuję co następuje:

Specjalne brygady milicji i świadomych obywateli przebranych za pijanych, nieletnich i samotnych będą nawiązywać kontakty z córami Koryntu nie uiszczając następnie opłaty. Prostytucja stanie się automatycznie nierentowna. Jako taka ulegnie samorzutnej likwidacji zgodnie z ogólnymi prawami ekonomii. Może dla dobra historii trzeba będzie stworzyć specjalne rezerwaty, ale czas najwyższy, by z forum ogólno-społecznego zniknęło wszystko, co ma związek z haniebnym procederem. Czas myśleć poważnie, nie wolno żartować jak dwóch słynnych i cenionych skądinąd ludzi: „Powinny być domy publiczne dla psów! A nie ma?"

KOLUMNĘ PRZYGOTOWALI: JERZY DĘBSKI • STANISŁAW IBIS CPATKOWSKI • WŁODZIMIERZ ŁUSZCZYKIEWICZ • MAREK WAWRZKIEWICZ • JERZY WILMANSKI

2)

Z grona młodych ludzi ćmiących pod oknem papierosy podbiegli do mnie i do Danki Czesiek i Mietek. Jednego uszczypnęła w nos, drugiemu nadstawiła policzek i nie zabawiwszy ani minuty w kółku przy dyrektorze — jak tego wymagała pozycja towarzyska mojej przecież oficjalnej sympatii — rzuciła się do stolika z płytami i po chwili patefon zaczął nas z uporem maniaka zapewniać, że jego „wielkie szczęście przyjdzie w jasnej godzinie". Nie mogłem wtedy jeszcze pojąć przyczyn tej ich raptownej komitywy. Zawsze przecież kpiła zawzięcie z Cześkowych niewydolności intelektualnych.

— Co słychać, panie kolego? — spytał dyrektor, potrząsając swą kolosalną grzywą. Ta grzywa, a i staromodne binokle, do tego zawsze na czubku nosa, upodabniały go do jakiegoś prowincjonalnego muzyka. Profesjonalny czarny garnitur, który wkładał teraz już tylko w wyjątkowych okazjach, nieznośnie zalatywał naftaliną.

— Co pan sądzi o tym wszystkim?

Odwrócił się nieco tyłem do stołu, na którym nasze dzisiejsze gospodynie stawiały talerze z tartinkami i wędliną. Nie chciał dać po sobie poznać, że jest głodny i że zbliżająca się wspólna kolacja nie będzie dla niego li tylko obowiązkiem pedagogicznym.

— O czym, panie dyrektorze?

— O tym zabójstwie. Wie pan, że w nocy zabili Kwiatkosia. Pan go znał. Ze Stogęby. Taki ryży z kędziorkami. Nie wiadomo, kto i co. Wyprowadzili nocą w bieliźnie i dali w czapę.

Dyrektor lubił wyrażać się aktualnym językiem młodzieży. W zestawieniu z jego starczym, mlaszczącym głosem sprawiało to wrażenie dość komiczne.

— Czy pan uważa, że on mógł... że miał coś wspólnego — tu zniżył głos, jak zwykle kiedy przychodziło mu wspominać o gestapo — z tym... urzędem?

Milczałem nie wiedząc, co powiedzieć. Pamiętam, że kiedyś tam, może przed rokiem, spotkałem Kwiatkosia i przechadzając się tam i z powrotem po Sewerynowie, prowadziliśmy bardzo żywą rozmowę w rodzaju: „Kiedy ich diabli wezmą?" — I nic mi się nie stało! — uświadomiłem sobie teraz, głośno myśląc.

— Niedawno Kłosek, dziś on! Obaj, głowę bym dał, porządni! Co to się dzieje w tym naszym podziemiu?... Co pan sądzi o tym wszystkim, panie kolego? — zwrócił się teraz z kolei do Holofernesa, który dopiero wtedy przyszedł.

Obaj pedagodzy pochylili się ku sobie na wprost lampki gabinetowej, przybranej na dziś fikuśnie amarantową bibułką. I gdy odchodziłem, na ścianie rysowały się ich krwawe, kontrastowo różne profile: płaska niemal bez rysów twarz dyrektora, z rzekłbyś wędkarskim haczykiem binokli na wysokości nosa, i charakterystyczny ptasi profil Holofernesa, przedłużony stożkiem gęstej, jakby ubitej, iście asyryjskiej bródki, od której to nadana mu w niepamiętnych przedwojennych czasach owo biblijne przezwisko...

Z przyległego pokoju rozległy się pierwsze dźwięki „Karawany". Ogromnie lubię ten slow-fox. Ten jego powolny, dramatyczny rytm, mający oddać pochód bez końca objuczonych ciężarem dromaderów. Danka powiedziała — nie to chyba jeszcze Nastka — że rytm ten widocznie najbardziej odpowiada mojemu temperamentowi. „Karawanę" tańczę tak jak marsza, prowadząc tancerkę wciąż tyłem po linii prostej, narzucając jej od czasu do czasu lekkie jakby ćwierć obroty. Niektóre dziewczęta nie znoszą takiego tańczenia, podobnie jak człowiek nerwowy nie lubi siedzieć tyłem do lokomotywy. Danka lubi... Kłaniam się jej już od drzwi, ale wymawia się bólem głowy. Po chwili jednak tak jakbym słyszał w przyległym pokoju jej gardłowy śmiech. Proszę do tańca Geografkę, ale ta rzuca mnie w połowie płyty, bo właśnie przypomniała sobie, że broszkę mogła dziś rano zgubić w komórce. Tańczę z Lilką, jednak biedactwo jest pozbawiona poczucia rytmu i usiłuje nadać naszemu slow-foxowi tempo polki-galopki...

Wtedy właśnie przyszła mi do głowy myśl o zemście: nad Danką: wybrać którą z mniej zajętych panien — broń Boże, nie Lilkę — i z miejsca po szwoleżersku — kapitalne określenie — po szwoleżersku, zawrócić w głowie.

Ewa stała pod piecem i kontemplowała na przeciwległej ścianie aplikację pani domu, przedstawiającą kozicę „na gór szczycie". Niewysoka, zgrabna. Włosy takie... polskie — koloru dostałego żyta. Okrągła jabłuszkowata buzia o różowej cerze. Na twarzy zupełnie interesująca mgiełka smutku. Wiedziałem o niej tyle, że kogoś tam ma, o k'm Czesiek dobrze się wyraża, że mieszka właściwie gdzieś w dalszej okolicy, a w mieście tylko przebywa na stancji, i że należy do pilniejszych uczennic.

Fatygant nie przyszedł — skonstatowałem — więc teraz ścianę podpiera.

Zaproszenie przyjęła jakby z wahaniem i zgoła bez entuzjazmu. Staram się włożyć w swój taniec jak najwięcej precyzji.

— Czy pani też udczuwa muzykę kolorystycznie? Na przykład to tango — kojarzy się z purpurą, prawda? Przymyka pani oczy i wtedy nadpływa jakby purpurowa fala. Prawda? Unosi nas łagodnie i zdajemy się płynąć. Sami. We wszechświecie. Poddani pieszczocie tego łagodnego żywiołu...

— Hm.

— Niech pani uniesie twarzyczkę! O, tak, na lewo! Czy pani wie, że jest pani podobna do hrabiny Kalergis ze starej berlińskiej rotograwiury?

— Tak?! — ni to obojętne zdziwienie, ni przyjęcie do wiadomości.

— Te łuki brwi podobne do skrzydeł ibisa w locie. Można by sądzić, gdyby odrzucić chronologię zjawisk literackich, że to o pani ustach wyczarowała Kazimiera Zawistowska jeden z najwspanialszych sonetów naszej poezji: „O, maków purpurowych, kraśnych maków kwiecie! O, usta całowane..."

— Niech pan się nie wydzicza, dobrze!

Gęś, psiakrew!

Z przyległego pokoju, w którym nie pali się światło, dobiegają fragmenty jakiejś bardzo bojowej relacji:

— Przecinamy druty i czekamy... Ciemno, powiadam ci, Danuśka, jak... u murzyna po czarnej kawie... A tu któryś z nich wyłazi i wali prosto w krzaki. Za swoją potrzebą, ma się rozumieć. I już portki ściąga. A ja: „hendehoch" i lufę mu do brzucha. Myślałem, że go krew zaleje!

— Weźcie mnie kiedy ze sobą — głos Danki.

A więc ta kolacja. W świetle dziesięcioświecówki, tkwiącej samotnie w żyrandolu, który mąż pani Zofii opuścił niemal na wysokość naszych twarzy, wyglądamy jak wycięci ze sztywnego kartonu.

Dyro dzwoni w szklankę.

— I znów gromadka orląt — zaczyna z właściwą nauczycielom starej daty afektacją — wyfruwa z gniazda naszej uczelni.

I dalej w tym samym stylu o ideałach i sympozjon przedwojennych rad i przestróg. Wodzi z wprawą oczyma po twarzach naszych gospodyń, które siedzą w idealnym bezruchu, wpatrzone w obrus. Dwie przytknęły chusteczki do oczu. Dyrektor także ma zamglone binokle...

Sam wtedy siedziałem, jakbym kij połknął, z wysokim poczuciem swej rangi i nieodzowności. Takie utraty poczucia rzeczywistości są chyba jakąś koniecznością naszych dziwacznych czasów. Dyro czuł się w tym momencie rzeczywiście wychowawcą i przełożonym „budy" w pełnym znaczeniu tego słowa — „budy", której ukończenie daje naprawdę swobodny start. I te pannice, w większości od dawna samodzielne, znające jak zły szeląg wszelkie strony życia okupacyjnego, czuły się w tej chwili stremowanymi swą nagłą dorosłością maturzystkami — owym rządkiem zaczerwienionych smarkul, podchodzących kolejno w świeżutkich bluzkach i granatowych spódniczkach do podium sali rekreacyjnej. Przecież po to, by się takimi właśnie poczuć, wykosztowały się i napracowały niemało, przygotowując tę bibkę...

Ta druga, rubinowa wódka była zdaje się niezgorsza...

Pierwsza plama na obrusie, przelotny grymas na twarzy pani domu, szybko zgładzony reprezentacyjnym uśmiechem.

— A może by tak młodzież coś zaśpiewała?

Odnalazła przed chwilą broszkę i wróciwszy do normy podejmuje na nowo rolę wychowawczyni kompletu.

Strzeż się tego, co na przedzie,
Co na karym koniu jedzie...

Jak oni świetnie utrafili, zaczynają od piosenki, od której należało ongiś zaczynać tak zwaną swobodną część uroczystości szkolnych.

Koło mnie po prawej stronie wybija się dźwięczny sopran:

Oficyjera, oficyjera...

Kącikiem oczu dostrzegam, że Danka ujmuje Cześka pod brodę i na ułamek sekundy opiera mu głowę na ramieniu.

— A może byśmy się tak napili? — zapiał mąż pani Zofii, ale zgromiony jej spojrzeniem umilkł.

Nie wiem. Nie słucham. To zdaje się wtedy miałem oczy utkwione w lampie...

Wybite ze snu muchy krążą uparcie po swych wydłużonych orbitach, zachowując zadziwiającą obojętność wobec salaterek, talerzy, naszych nosów... Raz, dwa, trzy, cztery — ...dziewięć — konstatuję z satysfakcją — tyle, ile planet.

Moje wielkie szczęście przyjdzie w jasnej godzinie...

Dyrektor uczynił ten swój ruch dłonią, ni to pożegnalny, ni zachęcający do dalszej wesołej zabawy i wstał od stołu. Część młodzieży poszła tańczyć, część zgarnęła butelkę i kieliszki i przeniosła się do drugiego pokoju...

Zdaje się, że poszedłem wraz z nimi, bo przypominam sobie, że piłem z Cześkiem bruderszaft, choć nie miałem na to ochoty. Ten klepał mnie po ramieniu i w kółko powtarzał:

— Tadek, Tadek, ja ci coś powiem, ale nikomu ani słowa. Pamiętaj... Tadek, Tadek. Jja ciebie bbardzo szszanuję, ale ty jesteś, wiesz co? — offiara losu. Ale nikomu ani słowa. Mur! A pamiętasz, jak myśmy ci zwiali z polaka, a tyś się tak złościł. Wtedy była brrachu, tttaka akcja, rozumiesz, na szkopów. Ale nikomu ani słowa. Mur, beton!...

Dok. n.

C_2H_5OH

(Dokończenie ze str. 2)

młodzi chłopcy i dziewczęta szukają w alkoholu jakiejś... nadzwyczajnej rozrywki? Czy upojenie alkoholowe jest dla nich wyrazem jakiegoś „wyższego wtajemniczenia w życie", dobrego smaku, „wysokiej stopy życiowej"?

W badania zaangażowali się socjolodzy, lekarze i społecznicy. Myślę, że choćby z tego względu wyniki są możliwie obiektywne i godne uwagi. Okazało się mianowicie, że znaczna część młodych ludzi, jacy trafiają do Izby Wytrzeźwień, to chłopcy i dziewczęta, którym się zupełnie nieźle powodzi. Albo sami zarabiają — pracując zawodowo, albo też poważny odsetek posiada nieźle sytuowanych rodziców. Istnieje wszakże jakaś jedna wspólna cecha łącząca tych młodych ludzi: jeżeli pracują — to sięgają po zawody nie wymagające żadnego wysiłku umysłowego, ani kwalifikacji. W grę wchodzi tylko wysokość zarobku. Bardzo często podają, że ich zarobek miesięczny kształtuje się na poziomie od 1.000 do 2.500 zł. Są przypadki zarobków znacznie wyższych, sięgających 3 tys. zł.

Ludzie, którzy prowadzili badania nad młodocianą „klientelą" Izby Wytrzeźwień zajęli się problemem co reprezentuje ta młodzież w dziedzinie znajomości świata, wiedzy, kwalifikacji. I wtedy okazało się, że mimo wszechstronnych możliwości, 25 proc. tych młodych ludzi nie ukończyło nawet 7 klas szkoły podstawowej. 60 proc. chłopców i dziewcząt kilkakrotnie ma już za sobą zmianę miejsca pracy. Bardzo często bez dostatecznie ważnych przyczyn, bywa i tak, że młody chłopak zostaje usunięty z fabryki czy zakładu za... notoryczne pijaństwo.

Wyniki badań dają również odpowiedź na pytanie jakie zawody są specjalnie „wyróżniane" przez chłopców i dziewczęta, dla których szkoła, jakiś wyuczony zawód nic nie znaczą. I tak np. w cenie są zawody gońca, zbieracza odpadków, robotnika transportowego, a więc nie wymagające żadnych, choćby najmniejszych kwalifikacji. Natomiast obiecują łatwy zarobek.

Mam w ręku wypowiedzi młodocianych klientów „Domu" przy ul. Deotymy. W swej wymowie są one równie proste co wstrząsające. Młodzi ludzie mówią tak o powodach swojego nałogu: *„upiłem się razem z ferajną, oblewaliśmy imieniny Staśka, ale co pan chce było tylko „owocowe..." „Byłem na imieninach, nie chciałem, ale zmuszali, byłbym się ośmieszył". „Dostałem premię, trzeba było oblać". Bez tego nie przyjęliby mnie do brygady w której dobrze się zarabia. Musiałem się wkupić".*

Mgr A. Majewska tak konkluduje sytuację w tej dziedzinie: „jedni ciągną od drugich, zachęcają lub nawet przymuszają do picia. Bardzo często wyłudzają od siebie pieniądze na nowego „litra". Nikt nie może uwolnić się od tego pijackiego obyczaju, aby nie narazić się na gniew, pogardę i kpiny. Obyczaj zbierania składki na wódkę istnieje prawie w każdym zakładzie pracy, fabryce a specjalnie na placach budowlanych wśród pracowników transportu. Młodzi ludzie bardzo często zmuszani są do picia alkoholu przez starszych. Po prostu — muszą „oblać" pierwszą wypłatę, uzyskanie lepszego stanowiska przy warsztacie, premię lub awans. Zdarza się, że młody robotnik całą swoją zaliczkę przepija z majstrem i kolegami, by wkupić się do ich grona. Inaczej nie będzie mógł z nimi współpracować, nie będzie miał prawa współtowarzysza pracy, zostanie usunięty z dobrze pracującej, a więc i zarabiającej brygady".

ŚWIAT Z DROGAMI DO NIKĄD

Jakimś uzupełnieniem twarzy ludzi, którzy mimo swoich 14 czy nawet 20 lat trafiają na ulicę Deotymy, są wypowiedzi ich samych dotyczące życia kulturalnego, tego co czytają, na jakie imprezy kulturalne czy oświatowe chodzą. Powiedziałem już, że 25 proc. nie potrafiło nawet zdobyć się na ukończenie szkoły podstawowej. Ale jeszcze bardziej wymowne są następujące fakty: zaledwie jedna czwarta należy do jakiejś organizacji młodzieżowej, do klubu sportowego lub świetlicy. 25 proc. podaje, że ich wyłączną rozrywką jest uczęszczanie na mecze. 20 proc. stale spędza wolny czas na zabawach, zaledwie 10 proc. było w swoim życiu w teatrze, ale tylko na operetce. Tylko troje na 382 osoby przebadane nadmieniło, że lubi również sztuki poważne i było w teatrze częściej aniżeli raz w roku. Natomiast powszechnym „dawcą" rozrywki jest kino. Są tacy wśród nich, którzy chodzą na projekcje filmowe codziennie, przeważająca natomiast większość dwa, trzy razy w tygodniu.

Czytelnictwo książki to zupełnie odrębny temat: 42 proc. przyznaje, że w ogóle nic nie czyta, bo nie lubi, bo nie chce. Zaledwie 30 proc. czyta prasę i to najczęściej „Express Ilustrowany", z równoczesnym zaznaczeniem, że pierwszą pozycją jest dla tych młodych ludzi w wymienionej gazecie... rysunkowy komiks! Żadna z przebadanych osób nie była w swoim życiu na koncercie, ani jedna nie słucha innych audycji radiowych poza tymi, w których nadaje się muzykę jazzową lub transmisje z imprezy sportowej. Poza niewielkimi wyjątkami zdecydowana większość nie potrafiła nawet wymienić adresów pod którymi znajdują się łódzkie muzea. Po prostu — „te rzeczy" nie interesują ich...

Świat tych ludzi jest więc zabity deskami. Drogi prowadzą do nikąd, albo do najbliższej pijalni piwa czy kiosku z „grzanym i ocukrzonym" na rogu którejś ulicy. A potem? Najpierw hotel przy ul. Deotymy, a później zakład zamknięty w Głazie, Kochanówka, Rybnik...

LUDZIE NIE RODZĄ SIĘ ŹLI

Powiedzenie to pachnie banałem. Jest tylko jednak prawdą. Zespół socjologów i lekarzy, którzy zajmowali się badaniem skutków alkoholizmu wśród mieszkańców Łodzi stwierdzili, że poważny odsetek młodocianych pacjentów Izby Wytrzeźwień to chłopcy i dziewczęta z rodzinnymi tradycjami... pijaństwa. Mogę zacytować autentyczne wypowiedzi badanych: Zbigniew R. urodzony 19. V. 1959 roku ma za sobą 6 klas szkoły podstawowej zarabia 2.500 do 3 tys. zł miesięcznie; ojciec nałogowy alkoholik, pije bardzo dużo wina, jest chory nerwowo nie leczy się, gdy jest pijany wypędza dzieci z domu.

Kazimierz U. lat 21, wykształcenie 2 klasy Zasadniczej Szkoły Zawodowej, rodzice — nałogowi alkoholicy. Kazimierz wyrokiem sądu dla nieletnich umieszczony był w Zakładzie Wychowawczym, gdzie nauczył się zawodu szewca. Ostatnio zmienił miejsce pracy. W firmie „W" mieszczącej się przy ul. Strzelczyka panuje atmosfera pijaństwa. Starsi pracownicy rozpijają młodzież. Pracuje tam około 10 młodych chłopaków. Kazimierz chcąc się dostać do brygady musiał oblać ten swój awans...

Znowu wypada mi mówić o skutkach jakie wywołuje ten stan rzeczy. Bardzo często są one widoczne dopiero w drugim i trzecim pokoleniu, ale zjawiają się niechybnie: debilizm, wodogłowie. 113 dzieci, w których domach rodzinnych alkohol pojawia się na stołach bardzo często, straciło jak to wyliczyli specjaliści — 195 lat szkolnych. Drugoroczność dzieci rodzin alkoholików jest zastraszająca, sięga 63 proc...

* * *

Ojciec Andrzeja w listopadzie ub. roku kilkakrotnie wracał do domu zupełnie pijany, bił i kopał chłopca, wyrzucił go na ulicę...

— Jak były awantury w domu, gdy ojciec przyszedł pijany, to dziecko broniło matki bo ją chciał zbić. Raz uderzył Alinkę w buzię to sie krew rzuciła, ona chciała zasłonić soba matkę..

Te słowa nie zrodziły się w mojej dziennikarskiej wyobraźni, wypowiedziały je dzieci, których dom jest przesycony odorem wódki, tego płynu, który tak niewinnie kryje się pod symbolem C_2H_5OH. Zapamiętajcie dobrze ten symbol. Znaczy on nie tylko, jak chcą naukowcy, zwiazek organiczny zawierający jedną lub więcej grup wodorotlenowych. W istocie znaczy on tragizm, rozbicie rodzin, społeczną degenerację.

KRZYSZTOF POGORZELEC

odgłosy str. 11

ODGŁOSY tygodnia

ALL RIGHTS RESERVED
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
COPYRIGHT BY ODGŁOSY

Gdyby dzieci były chore...

Niestety. Dzieci były zdrowe. Dlatego właśnie, że dzieci były zdrowe, Zygfryd D., z zawodu dekarz, zatrudniony w MZBM — Bałuty, został pozbawiony zarobku za okres swej nieobecności w pracy.

Nieobecność wprawdzie całkowicie usprawiedliwiona, gdyż ciężko chorą żonę Zygfryda D. odwieziono do szpitala, ale że dwojga małoletnich dzieci nie mógł zostawić na łasce losu więc musiał zostać w domu, by gotować strawę i sprawować nad dziećmi opiekę. Przedstawił świadectwo szpitalne o chorobie żony, zaświadczenie komitetu domowego, że poza nim nie ma nikogo, kto mógłby dziećmi się zająć. Oczywiście wszystko to przyjęto do wiadomości, ale odmówiono za ten okres wypłaty. Ba! Gdyby przynajmniej jedno z dzieci było chore, wtedy — — tłumaczono mu — lekarz wydałby zaświadczenie na blankiecie „L. 4'" o konieczności sprawowania przez ojca opieki. Wtedy poszłoby wszystko gładko. Bo tylko opieka nad chorym dzieckiem daje podstawę zgodnie z obowiązującym przepisem (Monitor Polski z dn. 28. XII. 1955 r.) do otrzymania zasiłku chorobowego.

Zygfryd D. jest uparty i wciąż pyta: no dobrze, ale jeżeli nie wypłacą, to za co wyżywię dzieci?

I tak w kółko. Tłumaczą D., że gdyby dzieci były chore, to inna sprawa, a że były zdrowe, to znowu inna...

A swoją drogą — czy nie warto by potraktować jako jedną i tę samą sprawę konieczność opieki nad małymi dziećmi, bez względu na to, czy są chore, czy zdrowe? A co za tym idzie — czy nie warto wypełnić luki w cytowanym przepisie, skoro tego domaga się życie?

Sądzimy, że trzeba i warto.

INICJATYWA i SPADEK

Łódzka KM MO ujawniła w r. ub. ponad 6 tys. przestępstw gospodarczych, w tym 636 przestępstw w przemyśle wełnianym. Straty łódzkiej „wełny" oblicza się na 2,5 mln zł. MO jednak udało się odzyskać ponad połowę zagrabionych artości. Spośród 636 ujawnionych „machlojek" i kombinacji w „wełnie" większość bo 327 to kradzież przedmiotów wartości ok. 300 zł.

Liczba grubszych spraw przekraczających sumę strat 20 tys. zł wynosiła 21. Warto zaznaczyć, że np. w 1958 roku przestępstw tych w łódzkiej „wełnie" było znacznie więcej bo ok. 1.5 tys.

Czyżby więc optymistycznie narastający spadek kradzieży?

PIĘKNE DZIEWCZĘTA NA ŁAMY „ODGŁOSÓW".

Foto: M. Adamek

Natura ciągnie do lasu

Wśród 782 pensjonariuszy sanatorium przeciwgruźliczego w Tuszynku koło Łodzi zawsze jest wcale spora gromadka amatorów taniej przygody. Korzystając z luk w ogrodzeniu wymykają się poza teren zakładu do okolicznych nieźle prosperujących melin, gdzie można łyknąć „setkę" i doznać odpłatnej „rozkoszy" w objęciach prostytutki.

Dyrekcja sanatorium jest na to bezsilna, zwłaszcza że tak się dziwnie składa, iż obecnie prawie 40 proc. pensjonariuszy stanowią osobnicy karani za różnego rodzaju przestępstwa. Natura — jak widać — ciągnie wilka do lasu.

REPRYWATYZACJA

Młyn w Retkach był niegdyś własnością Jana Śmiałka. W latach pięćdziesiątych decyzją władz gospodarczych został przekazany pod przymusowy zarząd państwowy. W roku 1957 były właściciel rozpoczął starania o wyjęcie młyna spod tej kuratelі. Ze swoimi planami zapoznał on niektórych pracowników Rejonowego Przedsiębiorstwa Młynów Gospodarczych w Skierniewicach, a w szczególności b. dyrektora tego przedsiębiorstwa Eugeniusza J.

Wtajemniczeni uznali, że reprywatyzacja młyna jest niezbędna. Opiniując wniosek Jana Śmiałka doszli oni do wniosku, że młyn jest nierentowny, a więc należy go zwrócić dawnemu właścicielowi. Tej samej argumentacji użyto w sprawie reprywatyzacji młyna w Bolimowskiej Woli. W tym wypadku prawa do własności młyna rościł sobie pracownik Wojewódzkiego Zarządu Młynów Gospodarczych Marian M. W realizacji jego ambitnych planów pomocą służyli mu pracownicy dyrekcji młynów!!!

Sprytnym kombinatorom pokrzyżował szyki prokurator. W toku śledztwa wyszło na jaw, że pieczę nad młynami prywatnymi sprawował Jerzy K. — kierownik działu kontrolno-rewizyjnego Wojewódzkiego Zarządu Młynów Gospodarczych. „Patron i jego wspólnicy zostali aresztowani i już niedługo staną przed Sądem Wojewódzkim dla m. Łodzi.

Nowakowie przed Pietrzakami

Przekrojowa rubryka „Wszystko o Kowalskich", prezentująca ludzi noszących najpopularniejsze w Polsce nazwisko, nie pasuje do Łodzi. Według nieoficjalnych danych, udostępnionych „Odgłosom tygodnia", najwięcej w Łodzi jest Nowaków (ok. 3.500). Na drugim miejscu są Pietrzakowie (ok. 3.300). Około 3.200 Kowalskich zajmuje dopiero trzecie miejsce. Tuż za nimi są Kowalczykowie (3.100). Po nich następuje Marciniakowie (ok. 2.600), Pawlakowie (2.400), Szymańscy (2.200), Michalakowie (2.150).

Powyższe podajemy do wiadomości zainteresowanym, jak również autorem tekstów o Łodzi.

Po nitce do kłębka

„I proszę bardzo, pomóżcie mi się stąd wydostać" — błagał w swym liście adresowanym do Franciszka K. (zamieszkałego w Belgii) pewien łodzianin, Jerzy R.

Ostatecznie nikt nie miałby pretensji do „turystyczno-wędrowniczych" zapędów piszącego, gdyby prośby swej nie motywował oszczerczymi wiadomościami o sytuacji w kraju, wiadomościami, których rozpowszechnienie wśród zagranicznej Polonii, mogłoby przyczynić się do stworzenia fałszywego obrazu wewnętrznych stosunków w Polsce. A wszystko to tylko po to, żeby uzyskać... zaproszenie do złożenia wizyty w Brukseli.

Jerzy R. tak wzruszająco odmalował nędzę swoją i swojej rodziny, że odpowiednie instytucje, które się o tym przypadkowo dowiedziały, postanowiły przyjść mu z pomocą. Wizja lokalna przyniosła rewelacyjne wyniki.

Biedny kandydat na emigranta okazał się nie tylko właścicielem telewizora (za 12 tys. zł), ale również samochodu osobowego i dziwnie dużych ilości wyrobów włókienniczych. Ilości dziwnie dużych, bo przecież żadna kobieta, mając zamiar uszyć sobie nową sukienkę nie kupuje w tym celu aż... 1.600 metrów tkaniny bawełnianej (!).

I tak od oszczerczego listu do bawełny, od bawełny do nitki, a po nitce do kłębka i wyszło szydło z worka.

Prokuratura ponownie otworzyła akta umożonego swego czasu śledztwa przeciwko sprawcom kradzieży, dokonanej 11 listopada 1959 r. w bazie PKS. Skradziono stamtąd wówczas cały ciężarowy samochód wraz z ładunkiem produktów bawełnianych, wartości 348 tys. zł. Sprawców kradzieży nie wykryto...

Dziś już wiadomo, że jednym z nich był Jerzy R. Wiadomo też, dlaczego tak usilnie pragnął opuścić granice kraju. Wiadomo również, że na długi okres czasu będzie musiał zrezygnować z turystycznych planów. Jak wiadomo, zakłady karne nie organizują dla więźniów nie tylko wycieczek za granicę, ale nawet rajdów krajoznawczych w Góry Świętokrzyskie!

Naukowcy ze Zduńskiej Woli

W Zduńskiej Woli pod fachowym kierownictwem doc. dr Tadeusza Kobusiewicza od 7 lat prowadzi działalność naukowo-usługową jedyny w kraju Zakład Pryszczycy Instytutu Weterynarii. Produkuje on przeciwpryszczycową szczepionkę AOC. Obecnie są w toku badania nad wyprodukowaniem szczepionki uniwersalnej przeciwko pryszczycy.

Dzięki szczepionce AOC uratowano już życie setkom tysięcy sztuk bydła i zahamowano spadek mleczności u krów. Naukowcy ze Zduńskiej Woli wnieśli więc nie lada wkład do rozwoju hodowli i ekonomiki rolnictwa.

MARZYCIEL

W schronisku dla nieletnich przestępców w Wieluniu przebywa jeden z wychowanków, który znajduje szczególne upodobanie w kolekcjonowaniu roznegliżowanych aktorek i „męskich" aktorów. Wycięte z prasy sylwetki aktorek wkleja do zeszytu i zaopatruje tytułem odpowiedniej piosenki.

Np. obok sylwetki Marilyn Monroe z prowokującymi piersiami nieletni marzyciel umieścił słowa:

„Przyjdź do mnie, przyjdź jeszcze",

obok BB w piżamie:

„Gorących twoich spojrzeń nigdy, przenigdy nie zapomnę".

Wychowawcy starają się wzbudzić w pensjonariuszu zainteresowanie do nauki i pracy. Zeszyt z aktorkami skonfiskowano.

Gdy człowiek leży... na ulicy

Ilekroć przechodnie natkną się na taki widok — są przeświadczeni, że leżący upił się do nieprzytomności. Pijacy na ulicach naszego miasta to widok bynajmniej nie rzadki. I oczywiście w ustalonym porządku rzeczy zjawiają się funkcjonariusze milicji i chwiejących się na nogach lub leżących opojów usuwają.

A jednak... Ileż to było tragicznych nieporozumień i późniejszych konfliktów z milicją. Zdarzało się bowiem, że człowiek leżący na ulicy i rzekomo śpiący, to bynajmniej nie pijanica, ale chory, leżący w ataku epilepsji. Choroba, w której trudno przewidzieć kiedy dotknięty nią ulegnie atakowi.

Milicjanci nie zawsze potrafili ustalić, czy mają przed sobą chorego człowieka. Wprawdzie organizowano dla nich specjalne wykłady, wdrażano wskazania i przestrogi przed pochopnym wysnuciem wniosku, że mają przed sobą alkoholika. A mimo to zdarzały się pomyłki i epileptyk mógł trafić (choćby i na krótko) do Izby Wytrzeźwień.

Aby tego uniknąć Komenda MO wystąpiła do dyrektora Poradni Przeciwepileptycznej, dr Bronisława Dobrowolskiego o zorganizowanie dalszych kursów dla funkcjonariuszy milicji. To nie wszystko.

Jak się dowiadujemy, na wniosek dr Dobrowolskiego rozważany jest projekt wprowadzenia znaczków (tak jak jest w Szwecji) dla ludzi chorych na epilepsję oraz legitymacji. Oczywiście znaczki mogłyby być wpięte dyskretnie pod klapami ubrań.

Wszystko to pomyślane jest w celu uniknięcia bolesnych nieporozumień i zapewnienia kompletnej ochrony ludziom chorym na epilepsję. Da to rękojmię że w każdym czasie i miejscu okazana będzie chorym konieczna pomoc.

Pomysł Teatru Powszechnego

Państwowy Teatr Powszechny w Łodzi wpadł na wspaniały pomysł radykalnie rozwiązujący jego kłopoty z krytykami teatralnymi. Każdy wspaniały pomysł jest zazwyczaj bardzo prosty. Ponieważ w ostatnim czasie Teatr Powszechny miał nie najlepszą prasę, samowolnie zmodyfikowano ustaloną wspólnie z Wydziałem Kultury Prezydium RN m. Łodzi, listę recenzentów teatralnych. Usunięto z niej wszystkich recenzentów, którzy kiedykolwiek ośmielili się napisać coś złego o Teatrze Powszechnym. I tak nie wysyła się już zaproszeń dla J. M. Rymkiewicza, ponieważ napisał źle o „Fantazym", nie otrzymuje zaproszeń Z. Nienacki, ponieważ napisał niepochlebnie o „Okularach", toż samo spotkało M. Wawrzkiewicza, bo napisał upowszechnienia na inne dziedziny życia.

☆

Skumbrie w tomacie

Wiadomość z „Dziennika Łódzkiego" (nr 116/4502 z dnia 18 maja 1961 r.):

O godz. 16 — w sali przy ul. Szpitalnej nr 5-7 — spotkanie z literatką Dunin, która wygłosi prelekcję o Stefanii Sempołowskiej, po prelekcji odbędzie się pokaz przyrządzania sałatek i surówek.

Wynalazcy na wsi

Wieś łódzka może się poszczycić dwoma wynalazcami, którzy ostatnio opatentowali swoje dzieła i zyskali rozgłos w świecie nauki i techniki. Są to: pomolog-amator Zygmunt Popłonikowski z Wojkowa pow. sieradzki, który opracował nowy, znacznie rentowniejszy, system hodowania brzoskwiń w naszych warunkach oraz mistrz Lucjan Siemienas z Praszki-Zawisnej, pow. wieluński, konstruktor magla automatycznego i zautomatyzowanej zgrzeblarki; znalazły już one amatorów w kraju i za granicą. Jak widać, życie na wsi wcale nie przeszkadza w twórczości technicznej.